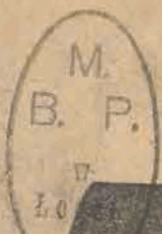


Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 8 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 30 marca 1947 r. | Nr 13 (92)

REDAKCJA TYG. SPOŁECZNO-LITERACKIEGO „WIEŚ"

OGŁASZA **KONKURS** NA ANKIETĘ:

„MOJA DROGA DO SZKOŁY ROLNICZEJ I ZE SZKOŁY ROLNICZEJ DO WSI"

NAGRODY: *I-15.000 zł, dwie II po 10.000 zł, III-5.000 zł oraz 50 autorów wyróżnionych odpowiedzi otrzyma nagrody książkowe z zakresu rolnictwa i literatury.*

Kto uczestniczy w konkursie?

Grupa pierwsza:

Udział w niej biorą wszyscy uczniowie najwyższych klas gimnazjów rolniczych, powiatowych szkói rolniczych oraz obu klas liceów rolniczych. Wypełnienie ankiety przez wszystkich uczniów wymienionych klas zostało w wyniku porozumienia z Redakcją „Wsi" zlecone Dyrekcjom Szkół Rolniczych przez Dyrektora Departamentu Oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa i Ref. Roln. ob. Mieczysława Wysockiego.

Grupa druga:

II. Udział w niej biorą wszyscy zainteresowani Szkołami Rolniczymi. W szczególności cenne dla nas byłyby wypowiedzi starszego pokolenia, które pamięta jeszcze pierwsze Szkoły Rolnicze w Galicji, w Wielkopolsce i „zaraniarskie" w Kongresówce. Obserwowało ono później szkolnictwo w latach międzywojennych i może porównać te dwa okresy.

III. Dla lepszego opracowania odpowiedzi na ankietę prosimy Panów Profesorów Szkół Rolniczych o zebranie odpowiedzi w 2-ch ratach. Pierwsza na punkt I i II, druga na p. III. Ich również lub samorząd klasowy prosimy o zbiorowe i łączne wysłanie odpowiedzi ze szkoły. Odpowiedzi mogą być krótkie lub dłuższe, nie powinny jednak pominąć żadnego pytania.

IV. Nagród głównych jest cztery, przy czym dwie pierwsze i czwartą zdobywają ci uczestnicy, których najciekawsze odpowiedzi dotyczyć będą p. III i p. IV. Druga nagroda zastrzeżona jest dla najciekawszych odpowiedzi na p. I i II.

V. Wynik ankiety oraz nagrodzone i wyróżnione odpowiedzi zostaną ogłoszone na łamach tygodnika „Wieś". Cały zaś materiał przekazany Instytutowi Socjologicznemu w Łodzi, znajdującemu się pod kierownictwem prof. J. Chałasińskiego.

VI. Termin nadsyłania odpowiedzi na ankiety upływa z dniem 15 maja 1947 r. Kierować odpowiedzi należy na adres: Redakcja Tygodnika Literacko-Społecznego „Wieś", Łódź, ul. Piotrkowska 96.

ANKIETA

Nazwisko, imię, adres zamieszkania, data urodzenia.

I. Wieś rodzinna:

1) a) oddalenie od miast, b) drogi — komunikacja, c) gleba, d) przeciętny sposób gospodarowania na roli, odchylenia ku uwstecznieniu i postępowi (w czym, kto, dlaczego), e) instytucje gospodarcze, kulturalne (szkoły, jakiego rodzaju, świetlice, ośrodki zdrowia), ośrodki przemysłowe — w promieniu wsi, gminy?
2) a) grupy gospodarcze i zawodowe w % (bezrolni, folwarczni, małorolni, średniacy, wielkorolni, rzemieślnicy, inteligencja miejscowa, przybyła, jakich zawodów?), b) ich znaczenie społeczne na wsi? Która, kiedy i w czym największą gra rolę?
3) a) liczebność twojej rodziny? b) warunki materialne? (jaka grupa?), c) warunki kształcenia się (jakie przeszedłeś szkoły, zawody i prace?)
4) a) Jakie osoby (ojciec, nauczyciel, kolega starszy) wywołały na tobie silniejszy wpływ i jaki? b) jakie instytucje i organizacje (dom, szkoła powszechna, kościół, Koło młodzież., fabryka, spółdzielnia, partyzantka itd.) i w czym się on wyraża?
5) Jaka była ilość we wsi młodzieży mniejwięcej rówieśnej? Jakie było jej współżycie? (kawalerka, koła, świetlice, teatr ludowy, zabawy, czytanie i dyskusje....). Jak ty i z kim współżyłeś? Jakie pamiętasz z tego okresu najsilniej wydarzenie? Jaka książka najbardziej cię poruszyła i dlaczego? Ilu kolegów i koleżanek uczyło się czy uczy powyżej szkoły powszechnej?

II. Okres okupacji:

1) Jak przeżyłeś te lata? a) w pracy na gospodarce rodziców, w zawodzie, na miejscu? b) uczyłeś się — czego, gdzie, w jakich warunkach? c) byłeś wywieziony do Niemiec, aresztowany — czego się tam nauczyłeś, jakie są twoje wrażenia i wnioski? d) byłeś w partyzantce?

III. W szkole rolniczej:

1) a) dlaczego wstąpiłeś do gimnazjum rolniczego? (szkoły rolniczej), b) jaki przedmiot najbardziej cię interesuje? c) jaki rodzaj praktycznych ćwiczeń? d) jaka książka z zakresu rolnictwa najbardziej cię zaciekawiła? A jaka z innego zakresu? Jakie czytasz pisma nierolnicze?
2) a) czy absolwent gimnazjum lub liceum rolniczego winien wrócić na własne gospodarstwo czy pójść na pracę o szerszej doniosłości społecznej? b) jakie prace otwierają się dla was (na ośrodkach państw., resztówkach, gminni, powiatowi agronomowie, Izby Rolnicze, Zw. S. Ch., przemysł rolny, Spółdzielnie), c) czy jesteś za gospodarką planową i rejonizacją? Jaką twoim zdanie winien odegrać rolę absolwent w planowej gospodarce rolnej?
3) a) W oparciu o wiedzę jaką nabyłeś w gimnazjum rolniczym, jakie widzisz błędy na swojej wsi w uprawie rolnej (w jakich zakresach)? — jakich dziedzin nie ma (hodowle czego?, warzywnictwo, sadownictwo itd.)? b) w technice i rodzaju narzędzi czego brak? c) w organizacji pracy (specjalizacje, spółdzielnia sprzedaży wspólnej, przemysł przetwórczy).
4) a) jakie zmiany i nowe urządzenia wprowadziłbyś na swojej wsi? W jakim zakresie? b) czy dadzą się one przeprowadzić bez równoczesnych przemian i w innych wioskach? c) w jakim stopniu zależą one od czynników wyższego rzędu (w gminie np. Spółdz. Zw. S. Chł., ośrodek przemysłu przetwórczego, stacja maszynowa, w powiecie: Izba Rolnicza, Zarząd Zw. S. Chł., urzędy melioracji, drogowe, plan rejonizacji itd.?), d) czy inne czynniki nie będą w tej akcji przemysłowo-rolniczej potrzebne — jakie i jak? (szkoły powszechne, świetlice, koła młodzieżowe, uniwersytety ludowe, czytelnictwo, inne zawody — inżynierowie, technicy, lekarze, działacze społeczni?)
5) Podaj konkretny, doraźny plan, możliwej do przeprowadzenia (w zakresie rolniczym) zmiany na twojej wsi, licząc się z obecnymi warunkami i siłami ludzkimi, jakie na niej się znajdują (z innych zawodów i przedsiębiorstw), a nie licząc jeszcze na zmiany w szerszych kręgach terenowych (gmina, powiat) i w wyższych ośrodkach dyspozycyjnych planu gospodarczego.
6) a) Z ludźmi jakich zawodów uważasz za potrzebne i konieczne pracować jako rolnik — społecznik? b) Jakie zatem rodzaje wiedzy winny być również przez młodzież wiejską zdobyte, aby podniosła się wydajność i opłacalność rolnictwa?

IV.

1) Jaką Szkołę Rolniczą znacie z dawnych lat?
2) Czy byliście w Szkole Rolniczej — jaki był jej program wówczas?
3) Jakie wówczas były inne instytucje na wsi czy w okolicy? (dwór, plebania, gmina itd.). Jak oddziaływały na wieś? A jakich wtedy nie było?
4) Jaki był stosunek wsi i innych instytucji do ówczesnych Szkół Rolniczych?
5) Kto wykładał w Szkołach Rolniczych? Z kim się nauczyciele wiązali, bardziej z chłopami, czy z gminą, dworem, szkołą, plebanią?
6) Kto uczył się w Szkole Rolniczej? Bogatsi, czy biedniejsi synowie chłopscy? (Jaki stosunek procentowy?).
7) Jak wyglądała gospodarka rolna, handel płodami, stopa życiowa na wsi w okresie powstawania Szkoły Rolniczej w okolicy?
8) Jaki był wpływ Szkół Rolniczych bezpośrednio na okolicę, jaki jej wychowanków?
9) Jakie nowe czynniki — zmiany polityczne, społeczne, nowe na wsi instytucje, większa ilość kształcącej się młodzieży wiejskiej, reemigracja itp. — wpływały na większe uznanie Szkół Rolniczych i podnoszenie gospodarki na wsi?
10) Jakie obserwowaliście na przestrzeni wielu lat zmiany w Szkołach Rolniczych, w umiejętnościach wychowanków, w sposobie produkcji rolnej chłopów? Jak się one zbiegały, dopełniały i uzależniały?
11) Jakbyście określili różnicę między dawnymi (pierwszymi) Szkołami Rolniczymi, a tymi z lat międzywojennych (ostatnich)? Co na to wpłynęło?
12) Jakie są Wasze z długoletnich obserwacji wnioski i propozycje w odniesieniu do Szkół Rolniczych i ich rozwoju?

Odpisywać należy bez powtarzania pytań, zamiast nich stawiając odpowiednią numerację np. II a itd.

Pierwsza grupa uczestników konkursu odpowiada na I, II i III punkt ankiety.

Druga grupa — zasadniczo tylko na IV punkt ankiety.

Roman Szymanko

KAPITALIZACJA ROLNICTWA

(artykuł dyskusyjny)

Poruszone przez M. Kokoszkiewicza we „Wsi“ oraz kilkakrotnie w „Chłopach“ zagadnienie struktury spółdzielczości wiejskiej oraz spółdzielczej gospodarki planowej stanowi moim zdaniem — sprawę zasadniczego znaczenia, od właściwego rozwiązania której zależy nie tylko charakter i forma rozwoju rolnictwa w przyszłości, ale również całej naszej gospodarki narodowej.

Nakreślony przez Kokoszkiewicza plan działalności gospodarczej spółdzielczości Samopomocowej może stanowić sam w sobie temat do dyskusji. Jak każdy nowy plan, tak i ten plan może być poddany analizie i zmianom w zależności od podejścia i nastawienia jego antagonistów lub zwolenników.

Jedno wszakże jest bezsporne dla każdego. Kto plan ten chociażby powierzchownie przejrzał, dostrzegł to, że realizacja jego wymaga oprócz licznych bardzo sił fachowych i ideowych — również — *i to przede wszystkim wielkich inwestycyj pieniężnych.*

Bez miliardowych inwestycji na wsi nie osiągnie się obecnie nie tylko postępu przy przebudowie i odbudowie naszej struktury rolnej, ale nawet nie uniknie się cofnięcia koniunktury na wsi, z czym poważnie należy się liczyć w miarę oddalania się od okresu wojny i gruntowania się stabilizacji gospodarstwa światowego i nawrotu do normalnych stosunków produkcyjnych. Otóż, wydaje się słuszne — zwłaszcza na tle dotychczasowego przebiegu ruchu cen artykułów rolnych i przemysłowych, że producenci rolni przede wszystkim w oparciu *o własny przemysł spółdzielczy* i inne urządzenia uszlachetniające produkcję surowca rolnego *będą mogli dopiero uzyskać wyższe ceny za swoje produkty.* Inaczej mówiąc— właśnie w najbliższym okresie czasu oczekiwać należy, że zwiększenie rentowności uprawy rolnej może nastąpić przede wszystkim, a może nawet wyłącznie w wyniku *zwiększonej inwestycyj wsi* we własny spółdzielczy przemysł i inne urządzenia pomocnicze, a częściowo tylko we własny spółdzielczy handel wiejski.

To zaś wymaga wielkiego nakładu kapitału.

Powstaje wobec tego pytanie, z jakiego źródła można będzie brać środki kredytowe na inwestycje?

Najłatwiejszym sposobem jest szukanie kredytów w bankach państwowych względnie w opierającym się na kredycie państwowym: banku spółdzielczym. Doświadczenie jednak uczy, że to, co wydaje się takie, nie zawsze jest najłatwiejsze. Państwowy plan inwestycyjny, obejmujący również plan inwestycyjny spółdzielczości S. Chł. przewiduje wprawdzie wielomiliardowe kredyty na odbudowę wsi, które znajdują bardzo poważne miejsce w ogólnej sumie projektowanych inwestycyj. Niemniej jednak słusznym się wydaje, że przy odbudowie i przebudowie wsi nie można tylko i jedynie ograniczyć się do kredytów Państwowego Planu Inwestycyjnego, ale inwestycje wiejskie oprzeć przede wszystkim na *własnych kapitałach zebranych bezpośrednio wśród rolników i przeznaczonych na cele służące bezpośrednio wzrostowi rentowności produkcji rolnej.*

Jakie więc organizacje wiejskie powołane są w pierwszym rzędzie do odgrywania tej tak doniosłej i ważnej roli gospodarczej?

Odpowiedź na to nie nasuwa wielkich trudności. Organizacjami tymi winny być przede wszystkim uniwersalne gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Wszelkie rozbicie spółdzielczości na terenie gminy — rozbicie zwłaszcza na spółdzielnie spożywców i spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej działa hamująco na tempo koncentracji kapitału, mogącego być użytym na cele inwestycyjne.

Świadomość tej roli gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej leżała już u samych początków powstawania Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Jako przewodniczący Komisji organizacyjnej Zrzeszenia przywiązywałem specjalną wagę do wprowadzenia do statutu Zrzeszenia przepisu o Funduszu Inwestycyjnym, opartego na wpłatach w wysokości 1 proc. od wszelkich obrotów poszczególnych spółdzielni. Dla zwiększenia funduszów inwestycyjnych Spółdzielni i ich Ogólnokrajowego Zrzeszenia wydawało mi się słusznym objąć obowiązkiem 1 procentowego Funduszu Inwestycyjnego nie tylko obroty z działalności przemysłowej spółdzielni, ale również i czysto handlowe obroty spółdzielni, uważając, że do rozbudowy przemysłowych urządzeń na wsi winien być *podciągnięty nie tylko już istniejący przemysł, ale również i handel.* Ponadto, aby zwiększyć fundusze inwestycyjne wydawało się słusznym, aby Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej zajmowały się nie tylko działalnością przemysłową lecz również i handlową.

Jeżeli omówione wyżej stanowisko nie znalazło półtora roku temu pełnego zrozumienia i akceptacji, to jednak dziś zwłaszcza na tle dyskusji o jednoitej spółdzielni gminnej Samopomocy Chłopskiej — zasady te wydają się całkowicie realne. zwłaszcza dla zwolenników uniwersalnej spółdzielni.

Bez połączenia wszelkiej działalności spółdzielczej na terenie gminy w jedną całość — niemal niemożliwe będzie *skumulowanie odpowiedniego kapitału* w celu pobudowania nowego młyna, fabryki czy suszarni. W odniesieniu do spółdzielczości spożywców istnieje ogólna tendencja do unikania kumulacji wygospodarowanego kapitału, który jeśli jest osiągnięty, raczej zwracany bywa członkom w tej lub w innej formie. Przy odrębnym istnieniu spółdzielni spożywców na wsi z zasady więc liczyć się należałoby z tym, że nie przyłożą się one do wielkiego wysiłku uprzemysłowienia wsi.

Ale zakładając nawet, że w wyniku ewentualnych zorganizowanych sugestii, zgodzą się one na kumulowanie kapitału na cele inwestycyjne, to i tak okaże się, że skumulowany na cele inwestycyjne kapitał będzie niższy od kapitału, jaki byłby zebrany, gdyby wszystkie miejscowe spółdzielnie w gmimie złączyły się w jedną całość finansową, tym samym i rozmiary inwestycyj, dokonywanych przez każdą z istniejących spółdzielni byłyby o wiele mniejnie i w konsekwencji prowadziłyby nawet licząc się z ewentualną pomocą kredytową banków — albo *do drobnych* lub wręcz *partackich inwestycyj,* albo po prostu do *zaniechania wszelkiej działalności inwestycyjnej.*

Te względy przemawiają więc w całej rozciągłości za tym, że dla realizacji planu gospodarczego na wsi, choćby nawet realizowany był on nie w pełnych rozmiarach proponowanych przez M. Kokoszkiewicza, ale tylko częściowo — powstanie jednolitej uniwersalnej spółdzielni gminnej Samopomocy Chłopskiej jest warunkiem koniecznym i nieodzownym.

W tym stanie rzeczy zagadnienie główne streszcza się w pytaniu — jak doprowadzić do *powstania jednolitej spółdzielni gminnej, aby przy jej tworzeniu uniknąć niepotrzebnych strat energii społecznej i kapitałowej?*

Roman Szymanko

Stanisław Cieślak

Obrót artykułami rolniczymi

1. ŹRÓDŁO KAPITAŁÓW INWESTYCYJNYCH

Rolnictwo polskie dla swego unowocześnienia potrzebuje kapitałów inwestycyjnych. Zdobyć je można:

a) z poza rolnictwa,

b) kosztem ograniczenia spożycia ludności wiejskiej,

c) kosztem amortyzacji gospodarstwa rolnego,

d) przejęcie w chłopskie ręce wymiany między wsią a miastem,

e) przez zmniejszenie kosztów produkcji,

f) przez powiększenie wydajności.

W okresie odbudowy zniszczeń wojennych, w okresie intensywnego rozwoju przemysłu i przebudowy struktury zawodowej ludności Polski, nie można narazie liczyć na dopływ kapitałów z poza rolnictwa.

Ograniczenie spożycia ludności wiejskiej byłoby sprzeczne z celami polityki gospodarczej rządu demokratycznego, sprzeczne z podstawowymi założeniami Trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej, bo przy tak niskiej stopie życiowej wsi grozi to biologicznym wyniszczeniem. Nie należy również lekceważyć roli wewnętrznego rynku dla artykułów przemysłowych, a ograniczenie spożycia odbije się w pierwszym rzędzie na zapotrzebowaniu na artykuły przemysłowe.

Zdobycie kapitałów inwestycyjnych na unowocześnienie rolnictwa kosztem amortyzacji (czyli nieodnawiania zużytych narzędzi, budynków, urządzeń melioracyjnych itp.), stosowane jeszcze dziś z konieczności w wielu gospodarstwach, powinno być zaniechane, gdyż jest polityką na krótką metę, prowadzącą do ruiny całego rolnictwa.

Najbardziej realna możliwość (poza zwiększeniem produkcji i zmniejszeniem kosztów własnych — o czym na innym miejscu) — to opanowanie przez chłopów wymiany, zatrzymanie na wsi marży handlowej i kosztów przerobu surowców rolniczych. Są to sumy niebagatelne, idące w miliardy złotych.

2. MARŻA HANDLOWA I KOSZTY PRZEROBU W R. 1938 I 1946

W cenie detalicznej artykułów żywnościowych, płaconych przez spożywcę, wyodrębnić można dwie części: pierwsza — zapłata rolnikowi za dostarczony surowiec, druga — to zarobek pośredników i koszty przerobu. Stosunek tych części przed i po wojnie przedstawiał się w sposób następujący:)*

Udziały rolnika, pośrednika i przerobu w cenie artykułów spożywczych w %

L.p.	Artykuły	1938 rolnik	1938 pośrednik i przerób	1946**) rolnik	1946**) pośrednik i przerób
1.	Żyto (chleb)	63.7	51.7	69.2	47
2.	Pszenica (mąka)	72.8	44.9	64.2	51.4
3.	Jęczmień (kasza)	67.3	50.2	65.3	49.9
4.	Ziemniaki	49.5	50.5	59.5	40.5
5.	Nierogacizna	64.4	35.6	65.2	39.8
6.	Mleko	61.5	38.5	65.0	35.0
7.	Jaja	77.8	22.2	74.1	27.1

O czym świadczy to zestawienie? Po pierwsze o tym, że udział rolnika w cenie żywności stanowił w r. 1938 od $^1/_2$ do $^4/_5$ wartości towaru, udział pośrednika i przerobu pochłaniał resztę.

A chodzi tu o sumy poważne. I tak np. za wyprodukowaną w r. 1938 pszenicę otrzymali rolnicy ok. 500 milionów zł. (przedwojennych), zaś pośrednicy i młynarze ok. 200 milionów zł.! Widać więc z tego jasno, że gdyby rolnicy dostarczyli mąkę z własnych młynów — to na wieś zamiast 500 milionów zł. przedwojennych dopłynęłoby 700 milionów zł. przedwojennych, czyli możliwości inwestycyjne rolnictwa zwiększyłyby się znacznie.

Oto dlaczego Związek Samopomocy Chłopskiej przykłada tak wielką wagę do rozwoju spółdzielczości chłopskiej i przejęcia obrotu i przerobu artykułów rolnych w chłopskie ręce.

3. POWOJENNY WZROST MARŻY HANDLOWEJ I KOSZTÓW PRZEROBU

Zestawienie podane wyżej świadczy i o innym fakcie, że faktycznie koszty wymiany i przerobu dla wielu artykułów wzrosły kosztem udziału rolnika w wartości towaru. Jeśli do tego dodamy fakt, że zmniejszyła się liczba pośredników, uległy znacznej zniżce podatki i obniżył się znacznie koszt transportu towarów — to stwierdzić musimy, że jest to zjawisko dla rolnictwa wysoce szkodliwe. Podniesienie kosztów wymiany i przerobu obniża dochód społeczny wsi i utrudnia jej odbudowę i unowocześnianie rolnictwa.

Możnaby to było ścierpieć, gdyby to szło na rozbudowę przemysłu, w której tak żywo wieś jest zainteresowana. Ale jeśli to idzie dla warstwy pośredniej, nieprodukującej (kupców, młynarzy i t. p.), na podtrzymanie wysokiej stopy życia spekulantów, to tego ścierpieć nie można. Oznacza to bowiem kradzież części dochodu społecznego wsi, oznacza uszczuplenie możliwości inwestycyjnych wsi o wiele miliardów złotych.

Należy zatym dołożyć wszelkich starań, aby marżę handlową i koszty przerobu zniżyć, conajmniej do granic przedwojennych.

*) wg. Nowickiego, Marża handlowa i przerobu w obrocie artykułami rolnymi, Biul. Inst. Gosp. Nar. Nr 4, 1946.

**) Średnia w okresie styczeń – czerwiec w okresie wzrostu cen rolniczych i spadku marży handlowej.

W ostatnim 12 (91) numerze „Wsi"

z dnia 23 marca 1947 r.:

Bronisław Majtczak

DWIE DROGI

Ta jedna wiodła w pole
pomiędzy złote zboża,
gdzie maki i kąkole
barw ją kreśliły zorzą.

Druga nad lasu brzegiem
w zbłąkane strojna chabry
do domów wiodła z cegieł,
do miasta, wielkich fabryk...

U dróg tych z młodszym bratem
staliśmy w dal wpatrzeni —
obaj wyszliśmy z chaty,
by jeden wrócił do niej...

Zbóż nam pachniały snopy,
w oddali dym tkał smugi — —
Jeden z nas został chłopem,
a robotnikiem drugi....

sierpień 1945.

Stanisław Witowski

Ilustrował Andrzej Strumiłło

Z pamiętnika wiejskiego nauczyciela

I

I oto trzecią noc spędzam w Jarzębnikach. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, opuszczając miasto. Pociesza mnie jednak myśl, że w każdym wypadku będę mógł wrócić do Bagieńca. Tymczasem zaś przeżyję drugie dzieciństwo. Toć Jarzębniki leżą trzy kilometry od Czarnowa — mojej rodzinnej wsi. Właściwie to mnie skusiło ostatecznie, że wybrałem tę wieś. Na domiar nadchodząca wiosna — wolność nareszcie, chociaż nad Odrą grają jeszcze armaty.

— Co prawda — dużo do wyboru Jarzębnik przyczyniła się nowa szkoła — dla mnie dwa pokoje z kuchnią na piętrze, także okolica malownicza, pagórki naprzeciw okna, rzeka w pobliżu, las — również znajomy kierownik szkoły, pan Radczak. Znam go jako współparafianina od szkolnych lat. Co prawda on później poszedł do gimnazjum w mieście, ja zostałem w Czarnowie i od tej pory widzieliśmy się może pięć razy. Znam jednak dokładnie dalsze jego dzieje. Dość, że imponować niczym mi nie może.

Nie wiem, jak mu tam szło w gimnazjum, ale mimo zamożności ojca skończył tylko sześć klas — następnie był nauczycielem opodal w Poznańskim. W tym czasie ożenił się z panną z naszej parafii. Dziewczyna skończyła tylko pięć oddziałów szkoły powszechnej, ale że rodzice posiadali czterdzieści morgów — liczyła się i jeszcze liczy do miejscowej arystokracji, choć wygląd ma pospolity: rumiana mocno na twarzy, o czarnych złośliwych oczach, średniej tuszy.

Sam pan Radczak też nie jest widać orłem, choć nie brak mu pewnej obrotności. Już to, że potrafił za Niemców utrzymać się jako pracownik w miejscowej gminie i to w wydziale gospodarczym — coś o nim świadczy. Słyszałem nawet, że był w wykonywaniu swych obowiązków zbyt gorliwy, zwłaszcza w stosunku do Polaków... Nie znając go jednak w tym czasach a i przedtym bliżej, nic o tym narazie powiedzieć nie mogę. Jedno tylko pamiętam. Gdy byłem za Niemców w rodzinnej gminie w jakimś interesie — udał, że mnie nie poznaje — może tylko ze względu na otoczenie... Dziś — nie powiem — jest dość serdeczny — może dlatego, że drukowałem coś tam przed wojną i liczy się, że znów coś napiszę... Lubię go, ciekawi mnie jego psychika, choć twarz ma zwykłą. Czoło dość duże, wypukłe, rzadkie już jasne włosy, oczy niebieskie pod żółtymi brwiami i niewielki na kształt wróblego dzioba nos.

W porównaniu ze mną jest jednak panem — właściwie bogaczem. Ma brata na gospodarstwie ojcowskim we wsi Głuszy, drugiego w Czarnowie — też blisko na trzydziestu morgach, siostrę zamężną w Łabęcinie, nie mówiąc już o czterdziestomorgowej matce żony. Wrócili już wszyscy do swych siedzib i pan Radczak wśród nich nie zginie, gdy ja liczę tylko na wspaniałomyślność wsi. O pensji bowiem nikt jeszcze nie myśli. Jest początek marca 1945 roku. Ciekawym, jakie też życie tu prowadzą — w istotnej głuszy. Odbija się w niej posępnie odległy huk armat, zwłaszcza obecnie nocą. Niemiłe to pomruki, światło mizerne, bo naftowe, w mieszkaniu — niedogrzanym jeszcze — chłód... Niemal mi żal Bagieńca. Cóż — dla „niewykwalifikowanych" nie było w nim miejsca, a i tęsknota za pewnym spokojem, chęć spojrzenia z odległości na wypadki... Tyle, że siostra przy mnie, chociaż z jej usposobieniem trudno w normalnych czasach wytrzymać. Ha, może się ostatecznie na wsi ożenię. Trudno — lata płyną, niedostatek ciągły, a „ideału" nie widać i nie widać.

Pierwsze lekcje mam już poza sobą. Ponieważ ławek mamy niewiele i jedną tylko tablicę, uczymy na dwie zmiany — pan Radczak od dziewiątej rano, ja po południu. Nie bardzo mi to dogadza, gdyż kończę niemal o zmroku, zacząwszy o pierwszej. Nadto z woli pana Radczaka otrzymałem dwa najniższe oddziały — najliczniejsze, bo chodzą do nas dzieci z okolicznych wsi, gdzie — choć są szkoły — nie ma jeszcze nauczycieli.

„Materiał" mam dość nierówny. Obok ośmioletnich, chłopcy już w wieku dojrzewania, nie poddający się łatwo cudzej woli. Wyróżnia się śród nich zwłaszcza Jasny — w istocie jasny, tęgi blondynek z Łabęcina. Stale na niego słyszę skargi, że bije towarzyszów w drodze do domu, a i w szkole niechętnie do mych rozporządzeń się nagina. Mniejsza, że to syn dworaka — widzę w tym wpływ wojny — brak dozoru ze strony rodziców.

Zresztą ten dozór na wsi nad młodzieżą i w czasie spokojnym... Pamiętam własne dzieciństwo, gdy moją wychowawczynią była droga, pola, a naogół towarzysze. Co prawda to ja na nich wpływałem wówczas. Owe wyprawy na sitowie, na bedłki „słoneczniczki" po czerwcowym deszczu na rowach, z łukami w ręku, wczesną wiosną wyprawy na czajki, na dalekie, zalane wodą „Przyłogi"... Odwiedzę te wszystkie drogie miejsca obecnie wiosną, w lecie, choć wiem, że tam dużo się zmieniło, jak i w nas samych od tej pory.

Uczyć — nie powiem — lubię, dzieci młodsze są posłuszne, tylko — z braku podręczników nadmiar roboty... Każdego, każdą oddzielnie wysłuchać czytania, oddzielnie napisać wzory w zeszycie, sprawdzić rachunki na sześćdziesiąt przeszło dzieci — jest to nużąca praca... Grunt jednak, że wiosna idzie, dnie i wieczory są coraz bardziej złociste, wysokie, dłuższe. Armaty także umilkły nad Odrą. Czyżby już na dobre?

Poznałem też bliżej kilku ludzi z miejscowej elity. Więc komendanta wojennego — kapitana Jermakowa, rezydującego w gminie z kilku żołnierzami na schwał, także wójta — mojego współparafianina z młodych lat. Wygląd ma niebardzo poważny, bo młody jeszcze — złociste włosy, pociągogłowy gospodarz z Czarnowa. Ponieważ Niemcy rozebrali mu stojącą na uboczu w polu zagrodę, obecnie mieszka we dworze Jarzębskim — właściwie w oficynie. Właśnie — że wójt znajomy, liczę na niego dużo. Mówimy sobie nawet po imieniu. Ha, zobaczymy, co kryje jego ciągły uśmiech, pochylona na bok głowa, choć w domu podobno cierpi z powodu zazdrosnej żony i nadmiaru „pociech". Ma już siedmioro, a ósme pono w drodze.

Następnie pan sekretarz — niewysoki a pleczysty, co czyni go przysadkowatym — uśmiechnięty ciągle ochoczo, podobno dobry kompan do kieliszka, jak i wójt. Następnie pan instruktor rolny — pan Koczula. Skąd on się tu tak prędko wziął? — kawaler jeszcze, choć nieco pochylony, łysawy już. Następnie woźny gminny Michał Szumiński — także stale uśmiechnięta „gęba" — widać dusza człowiek, skłonny do kieliszka.

Prócz kilku jeszcze w gminie urzędników — między nimi dojeżdżający z Łabęcina organista — pracują także trzy panny. Jedna z nich, to młodsza siostra pani Radczakowej — powłóczysta panna Irena. W istocie chodzi i załatwia interesantów niby półsenna. Żywsza już jest czarnula, panna Stasia, zerkająca na pana Koczulę, urzędującego także w gminie. Natomiast panna Kazia, prawa ręka sekretarza — wysoka, smukła — wyjątkowo tylko raczy się uśmiechnąć, skupiona zawsze, poważna, powiedziałbym — smutna. Czyżby dlatego, że ma blisko trzydzieści lat?

Do elity miejscowej trzeba zaliczyć jeszcze dwu właścicieli sklepików. Jeden pan Śniadowski — wysoki, szczupły, z blizną na twarzy, popularnie zwany Marcelem, drugi — pan Jan Kręcik — rzeźnik miejscowy, o śmiejącej się ciągle rumianej twarzy, niski tłusty. Od czasu do czasu już coś zabije, zwłaszcza na polecenie pana komendanta wojennego i do jego dyspozycji. Może z czasem dostanie się i nam — choćby kupić, szczególnie „okrasy".

Zapomniałbym niemal o kierowniku miejscowej poczty, mieszczącej się także w gminie — panu Ćwikowskim. Za Niemców podobno Leistungpole — dziś należy do najgłośniejszych we wsi patriotów. Ciekawym, czy jaka partia istnieje na terenie gminy. Muszę pogadać z wójtem. Toć przed wojną był podobno działaczem w Stronnictwie Ludowym, na mocy czego został obecnie wójtem, mianowany przez kapitana Jermakowa, chociaż — słyszę — początkowo obowiązki wójta objął pan Gibalski, gospodarz miejscowy i naczelnik straży. Podobno jest teraz z braku poparcia przez komendanta rozżalony. Poznałem go przelotnie. Wygląda dość poważnie — starszy już, niby skupiony.

Osobiście podoba mi się więcej Kasper Lingas — gospodarz również z Jarzębnik, młodszy tylko i bardziej żywy, a przeto — mniemam — czynny. Z twarzy nadto przypomina orlika. Ha, zobaczę. Może zaczniemy razem coś robić społecznie, gdyż i z tą myślą tu przybyłem. Okolica, ludzie znajomi na ogół, wiedzą, że mam trochę szkoły, a i serce gorące czuję w sobie. Marzyłem kiedyś, żeby wyjść stąd posłem... Ach, gdyby armaty na dobre już grać przestały i wróciła Hania. Czuję, że przy niej wziąłbym większy jeszcze rozmach, jak zwykle przy kimś, kogo kochamy.

Dziewczyn, owszem, tu nie brak — choćby Kręcikówny — aż trzy w domu i wszystkie trzy gładkie (dwie jeszcze chodzą obecnie do szkoły). Miny takie robią, jakby grały role księżniczek — niewypuczone. Niech pan Koczula którą bierze, bo nawet u nich się stołuje i łatwy to typ w obcowaniu, gdy ja po staremu w obliczu ludzi nowych i panien sztywnych czuję się trochę dziki. Nie lubię się naginać do poziomu banalnych rozmów. Wolę milczeć i przebywać jak dotąd na uboczu.

Gorzej, że znów przybliżyły się jakby armaty. Wczoraj, w niedzielę, huki tak się wzmogły, że mimowoli zacząłem oglądać rower... Nie, za żadną cenę nie chcę ich znowu oglądać — Niemców. Wyobrażam sobie, jakby tu gospodarzyli, choćby kilka dni. Pamiętam jeszcze ich oczy, ręce, słowa. Zaś teraz, gdyby wpadli rozjuszeni, ujrzeli leżące jeszcze gdzieniegdzie trupy żołnierzy, usłyszeli mściwe głoty potajonych tu owdzie volksdeutschów. Żołnierze sowieccy co prawda z komendantem nadal w gminie siedzą, ale oni mają w pogotowiu samochody, które często warczą w nocy. Pan Radczak także blady zaniepokojony chodzi, choć odważnie milczy... Na szczęście odgłosy frontu oddalają się po gwałtownym natężeniu, jakby piekielnej młócki... Jadą w tamtym kierunku nowe sznury, obciążone armatami, sowieckich wojsk...

Nagle, prawie do dnia, spadła na nas niespodzianka. Pan komendant przysłał po mnie i pana Radczaka i oznajmił nam, że szkołę z dniem dzisiejszym przenosi do dworu. Budynek szkolny zajmie gmina, jako rozleglejszy, zaś dwór stoi pusty. Podwody zajadą niebawem, więc wszystko należy mieć gotowe — ławki, tablice, własne sprzęty.

Nie było co mówić — wyszliśmy w milczeniu. Pan Radczak służbiście wyprostowany, wyraził ochoczo zgodę... Co do mnie, byłem zasmucony. Taki śliczny widok miałem tu z okien — z pierwszego piętra na pagórki i rzekę. Tam w parku — dwór niemal niewidzialny i z niego pola. Nadto stary to już budynek, niby grobowiec, a szkoła nowa, co prawda przebudowana przez Niemców na urząd gminny. Na domiar ta przeprowadzka ponowna — w tydzień po wyprowadzeniu się z Bagieńca...

Udaliśmy się najpierw z panem Radczakiem obejrzeć z bliska ten dwór. Owszem, otoczenie piękne. Olbrzymi na kształt boru park, trzy stawy połyskują niżej. Łączy je dołem płynący strumyk. Dwór nieco na wzgórku, parterowy, w nim cztery pokoje ogromne, kilka mniejszych. Puste są wszystkie, prócz jednego i strychu, zawalonego meblami. Zapach nadto jak w starym opuszczonym kościele — niedużo słońca, chłód... Sufity zadziwiająco wysokie, podobnie piece kaflowe — brak kuchni. Była kiedyś jedna w piwnicy. Tę stronę dworu wybrał sobie jednak na mieszkanie pan Radczak łącznie z żoną, która gdy ja milczałem w dalszym ciągu, kręciła na wszystko głośno nosem.

Ostatecznie — za doradą tymczasowego „administratora", a byłego ogrodnika, pana Grzybka, który nas oprowadzał z kluczami w ręku — ustaliliśmy mniej więcej w ten sposób plan zajęcia dworu, stojącego frontem w stronę zachodnią. — Pan Radczak zajmie na mieszkanie południowo - wschodnią część budynku z klasą od zajazdu; ja wschodnio - północną — kuchnię i olbrzymi pokój — z klasą także od strony ganku, by dzieci miały łatwiejsze wejście do szkoły. Ponieważ nie było piecyka w mej kuchni, pan Grzybek przyrzekł postarać się o żelazną „gotowalnię", którą przystawiliśmy w końcu do kaflowego pieca. Gorzej, że wyjście stąd będę miał wprost do klasy. Nie dało się urządzić inaczej, zwłaszcza że państwo Radczakowie zajęli duży pokój nawprost holu, mniejszy na gabinecik pana Radczaka i drugi na kuchnię, spiżarnię, nie mówiąc już o kuchni rzeczywistej na dole, do której zejście jest z ich obecnej kuchni.

Ponieważ nadeszły wkrótce podwody, zaczęliśmy się przeprowadzać. Na szczęście dzień był słoneczny, gorący niemal, ludzie ze swych okolic, a więc chętni do pomocy. Chciały pomagać także dzieci, nawet najmłodsze, ale kazaliśmy im w tym dniu iść do domu, a jutro już do „nowej" szkoły we dworze. Trochę się obawiam, że ucierpi od nich park.

Chociaż — już dużo ucierpiał, jak widzę i to z przyczyny wójtów, mieszkających w oficynie tuż nad stawem. Oto zaczęli park uważać za porębę, a za wójtami — dworacy, może i ze wsi kto nocą. Dość, że w parku pełno pieńków, a przed wójtami leży sięga zrąbanych świerków. Pan Grzybek — zagabnięty przeze mnie w tej sprawie, wzruszył ramionami bezradny. Wogóle ma niewiele do gadania. Nawet ramy inspektowe „nieznani" sprawcy gdzieś wynieśli, zaś co się działo świeżo po ucieczce Niemców...

Umilkł na dobre — młody jeszcze i widać dość inteligentny. O piecyk się postarał, jak przyrzekł i już na nim siostra gotuje, tylko że początkowo ogromnie dymi. Chłodno tutaj i obco, mury gdzieniegdzie zaszły pleśnią, zaś słońce zagląda tylko do godziny dziesiątej, gdyż okna mieszkania wychodzą na wschód.

Co prawda to widok mam z nich dość ładny. Najpierw trochę gołej ziemi, gdzie pan Grzybek przygotowuje mimo wszystko inspekta, potem pojedyńczy świerk srebrny, dalej niby tło, czarniawa jeszcze gęstwa parku. Przy północnym oknie rośnie kasztan wspaniały i opodal szeroka sosna amerykańska — wejmuta. Dalej na polance stoi wioska uli, ale pustych, gdyż podobno żołnierze po wkroczeniu wyjedli miód razem z pszczołami... Tak mówią miejscowi ludzie. Lecz czy także i im przy tej sposobności miodu trochę — razem z pszczołami — do rąk się nie dostało?

Słowem — nie bardzo wesoło zapowiada się życie we dworze. Czy ja kiedy myślałem zresztą, że będę mieszkał w „pałacu", jak ten zabytek parterowy zwią miejscowi ludzie. A jeszcze po p. Irzanowskim — słynnym na okolicę nieużytku... Toć bronił chłopom ścieżki naprzełaj do gminy, wypasać krowy na rowie granicznym.

W związku z tym przypomina mi się słyszana w dzieciństwie zabawna historia. Dziadek jeden, już na „wycugu", pasał w ten sposób swoją krowę, a może trochę i w pańskim, gdy nikt nie widział. Otóż kiedyś pan go zeszedł niespodzianie i zajął mu — kożuch, bo krowa snać umknęła, znająca również pana. Wtedy co czyni nasz Piętacki? Oto woła za odchodzącym z kożuchem dziedzicem: — Panie, bo w nim są wszy! — Dziedzic na te słowa odrzuca kożuch, jak porażony... Taki to był podobno pan Irzanowski, właściciel Jarzębskiego dworu. Gdzie on dzisiaj? Podobno zjawił się tu niedawno, obejrzał wszystko i — odjechał — dokąd?

II

Niepostrzeżenie wkroczyliśmy w okres przedświąteczny — wielkotygodniowy. Bardzo lubię tę porę, zwłaszcza, że dnie są słoneczne, jakie pamiętam z dzieciństwa. Drzewa, chociaż jeszcze czarne, już nawpół żywe, w rumianych pączkach i prątkach, niebo, szczególniej porankami — szkliście złociste, co dzień wynioślejsze. Słońce — roztopiony diament w platynowej obręczy. Radość wybucha zewsząd, jak wonie z ziemi. Roznoszą ją jeszcze ptaki, śmigając, gwiżdżąc jak oszalałe. Wiosna, wiosna! Życie nowe, nadzieje jakieś, rozpierające wszystko, nawet — wilgotne kamienie...



W wolnych chwilach nie mogę się dosyć nachodzić po parku, gdzie znam już każde drzewo, więcej — kocham je — żywe na wiosnę. Boli też mnie śmiertelnie, gdy widzę ścinających je ludzi. Drga pod piłą lub uderzeniami siekiery wspaniały niby nadawcza antena — świerk... Lata oblały go żywicą jak roztopionym cukrem, pod którym niknie jego płowo rudy pień.

— Na co wam on potrzebny — pytam nieznanych mi ludzi, choć domyślam się, że to dworacy. Objaśnienia ich są niebardzo jasne. — Najpewniej drzewo idzie na ogień, choć widzę — zapasy opału leżą jeszcze przed czworakami. Ale — gdy nikt surowo pod doraźną karą nie zabrania — dlaczego nie ciąć? Przyda się na to lub owo. Można i w mieście drzewo pocięte sprzedać... W ten sposób niszczą jedyny na okolicę „las" — ozdobę rodzinnej wsi.

Spotykam też na przechadzkach porannych w parku nadeszłe wcześnie do szkoły dziewczyny — te najstarsze, jak Kręcikówny — panny już szesnastoletnie, gdyż i podobne przyjęliśmy dla uzupełnienia nauki. Owe ujawszy się pod ręce, chodzą beztrosko i — spotkawszy nauczyciela — milczą z uśmiechem, dowcipnymi minami. Nie pozdrawiają nawet pana Radczaka, jak zauważyłem, a nam głupio trochę pozdrawiać pierwszym nasze uczennice. Ale mniejsza o to. Do zabiegów o ich względy się nie uniżymy, szczególniej ja, gdyż to nie moja klasa. Najwyżej, gdy pana Radczaka czasem zastępuję — osobliwie mi zwracać się do nich, także do chłopców dryblasów, którzy choć błędy okropne w dyktandzie robią — spoglądają na nas — nauczycieli — z góry... Czemu to przypisać — głupocie czy wojnie? Brakowi wpływu rodziców, wychowania? Naogół — smutne.

Pociesza mnie widok młodszych dzieci — dwu moich klas — pierwszej i drugiej. Dziwne, ale znajduję w każdym, szczególniej w chłopcach, potroszę siebie — z lat dziecinnych. Ta sama żywość, otwartość, skłonność do uczynków i — kłamstwa. Słowem — do złego i dobrego. O co ich poprosić — wszystkoby zrobili dla nauczyciela, gdyby to było w ich mocy. Przyłapani na kłamstwie, drobnych przestępstwach — choć z rumieńcem — najbezczelniej się wykręcają, zwalają winę na drugich, patrząc śmiało w oczy... Niektórzy milczą uparnie. Ci są najgorsi. Wolę już żywiołowych — w dobrym czy złym.

Ponieważ o pensji jeszcze nic nie słychać, a wszędzie nauczyciele tak robią, ogłosiłem w klasie dzieciom, by coś na Wielkanoc nauczycielowi przyniosły. Upokarzające to, ale co robić i z czego żyć, gdy zapasy przywiezione



z miasta się kończą? Radczak co prawda wyrzekł się tej „daniny". Ja nie mogę sobie na to pozwolić — nie mam zamożnej, bliskiej rodziny w okolicy. Dzieci więc znoszą po trochu — przeważnie mąkę, zwykle żytnią, po parę jajek. Dowcipnie się urządził Zygmuś Barański. Otóż — nie wiem, czy to dla mnie — zeszedł po lekcji do piwnicy pani Radczakowej, gdzie jej kury niosą i został tam przyłapany na wybieraniu jajek.. Wyśledził go na tym Jurek Radczak — najstarszy syn kierownika, chłopak dwunastoletni — biegły i spryciarz, choć przebiegłości nie braknie i jego młodszemu bratu, Jasiowi. Jest on nawet w mojej klasie — pyzaty zarozumialec, z buzi podobny do matki. Otóż pani Radczakowa wyprowadziła z kradzieży wniosek, że napewno owe jajka usiłował Zygmuś zabrać dla mnie, choć jego koledzy inaczej twierdzą — że on bierze wszystko, co mu się nawinie pod rękę.

W związku z tym przyszła nazajutrz jego matka i kazała walić synka, gdyż jajka dla mnie już mu trzy dała wczoraj. Zapytany o to Zygmuś, uśmiecha się bezmyślnie i gra głupiego. Muszę na niego zwrócić większą uwagę i nie puszczać go do mieszkania swobodnie jak dotąd. W każdym razie niemiłe zdarzenie.

Niemiła jest i pani Radczakowa ze swoim niezbitym przekonaniem, że dla mnie kradł.. W ogóle — chodząca to wyrocznia, mówiąca ze zmarszczonym namaszczeniem. Zaprzyjaźniła się ogromnie z wójtowa — druga, obszerna jak ona prościucha. Razem pieką ciasto na święta. Nie podoba mi się i to, że do nas często zachodzi — pani Radczakowa. Siostra gaduła jak wszystkie niemal kobiety, a ja nie lubię, wszyscy wszystko wiedzą o życiu w domu, szczegóły o rodzinie. Przewiduję, że wynikną stąd plotki, kłótnie nawet, lecz jak zabronić żonie kierownika, by nie przychodziła do nas pod byle pozorem, a często i bez powodu? Najczęściej mówia o wójtach, którzy służącą - volksdeutschke — traktują niby kuzynkę,zwłaszcza wójt. Jest to jeszcze niestara panna — Ela. (Przewiduję, że wójtowa długo tego nie ścierpi — względów wójta dla panny Eli). A to, że dzieci ich nie chrzczone. Wójt przed wojną należał do Badaczy Pisma Świętego, obecnie także do kościoła nie chodzi,lubi zabawić się, wypić przy sposobności.

Ostręcza mnie wszystko od pani Radczakowej i od siostry, ale co zrobić? Baba z babą zawsze się zetknie, choćby przy studni i wtedy gadu gadu, moja pani — moja pani...

Co prawda — widzę — wójtowie to prawie cygańska rodzina. Mniejsza o dzieci niemal równe wzrostem — co rok to prorok — i aż siedmioro — porządek u nich w mieszkaniu jak w cygańskiej szatrze. Dzieci z odpiętymi tyłkami zamorusane biegają, wójtowa — tęga i niska z kwaśną choć jeszcze młodą twarzą, z najmłodszym przy piersi rozpięta chodzi — wiecznie niezadowolona. Jedna panna Ela robi wrażenie opanowanej i coś czyniącej, chociaż to Niemka i według mnie nie miła — ciemna na twarzy jak Cyganka. Bądź co bądź nie chciałbym znajdować się w skórze wójta, bo i w gminie ze strony komendanta słuchać musi często przykrych słów, ale i w domu stale od żony wymówki, pretensje, że w domu mało bywa, wraca pijany z wizyt urzędowych, spogląda na pannę Elę... Co prawda — wójt mnie osobiście wydaje się niezaradny, zbyt uległy pokusom — kieliszkowi, kobietom. Za dzielniejszego z oddalenia go miałem. W ogóle — wszystko traci po bliższym poznaniu. Na prawdę to męka w tych warunkach.

Wracając do wójtów, to mam wrażenie, że wybuchnie kiedyś u nich awantura. Panna Ela będzie prochem, zapałka — pani Radczakowa, może siostra moja. Niepokoję się naprzód o to i jak mogę zapobiegam — gadulstwu siostry, wizytom u nas pani Radczakowej. W domu u wójtów jedynie ich najstarsza córeczka — panna Mila jest miła — piętnastoletni, biały na twarzy sympatyczny króliczek... Ale to dziecko jeszcze — naiwne, prościutkie, choć niebrzydkie i dość pracowite. Ha, zobaczymy, jak to będzie splatać się dalej. Grunt, że tymczasem nadchodzą święta Wielkanocne, pogoda nadal złocisto diamentowa, zwłaszcza w południe, kwitną trzciny puszysto na stawie i „palmy" czerwonawe przy nim... Armaty grają coraz dalej, choć często w nocy wybłyskują rakiety gdzieś w zachodniej stronie, samoloty dudnią całe noce. Zbliża się widać wielkie uderzenie — chyba ostatnie? Czas już najwyższy, by nastał spokój razem z wiosną. Do nauki nie bardzo to pomaga — ciągłe pomruki z nad Odry. Mru i mru. Jakże pożądana jest majowa, pogodna cicha noc. Z księżycem będzie tu pięknie, ze słowikami, stawem opodal... Przyzwyczaiłem się już do dworu, dzięki parkowi i żeby nie ludzie niezbyt ludzcy dokoła... Co prawda, mało mi jeszcze znana sama wieś, ciągnąca się ku łąkom na uboczu. Ale muszę kiedy zajść choćby do Linkasa. Z pierwszej rozmowy, jak i z twarzy śmiałej, spodobał mi się ten młody gospodarz. Z niego sądzę — wójt byłby niezły, bo dotychczasowy to „gapa" i słusznie wysłucha często niezbyt przyjemnych komplementów komendanta, interesantów gminnych. Ha ustąpić zawsze może, chyba by nie miał ambicji i naprawdę polubił te „nieurzędowe" przy pełnieniu obowiązków urzędowych przyjęcia, śmieszna w obecnych warunkach władzę wójta, podobnie tytuł...

Strasznie mi pomyśleć, że za tym wałem na zachodzie znajduje się moja Hania. Czy nie zaginie teraz w coraz mniejszym kotle, jeżeli żyje dotąd, mimo bombardowania miasteczek i wsi? Kiedy ją zobaczę? Myślę, że najpóźniej w końcu lata będzie już po wojnie i wówczas... Czym zapełnić owe godziny czekania? Chyba na ryby będę chodził, jak w pierwszej młodości — do rzeki stąąd dwa kilometry, a i stawy w parku już jaśnieją biała woda pod złotawymi płaczącymi wierzbami.

Henryk Syska

JAKUB BOJKO

„W roku 1944, w czasie największego nasilenia wojennego, zmarł we wsi Gręboszowie w 87 roku życia Jakub Bojko, chłop samouk, głośny działacz polityczny i parlamentarny, przedstawiciel włościaństwa polskiego, mówca z Bożej łaski i znakomity pisarz, wychowawca paru pokoleń chłopskich polityków".

Takimi słowy rozpoczyna krótkie wspomnienia pośmiertne „Przyjaciel Ludu" krakowski organ Stronnictwa Ludowego, który po kilku latach przerwy rozpoczął w dalszym ciągu swoją chlubną działalność.

W historii ruchu ludowego obok całego szeregu wybitnych jednostek wyrosłych na tle przeobrażeń społeczno - politycznych wsi w drugiej połowie 19 wieku, postać Jakuba Bojki zaliczyć należy bezsprzecznie do najbardziej zasłużonych. Wyrastał na miarę krajową w okresie, kiedy wieś galicyjska przeżywała najbardziej katastrofalne chwile. Nadmiar karłowatych gospodarstw, nieuporządkowanych należycie po przeprowadzonym uwłaszczeniu, brak możliwości zarobkowych nazewnątrz, koniecznych do pokrycia niedoboru budżetowego zubożałych rodzin, sprawiły, że ówczesna wieś małopolska zepchnięta została na dno skrajnej, przysłowiowej „nędzy galicyjskiej".

Upiór głodu i niedostatku nie ominął także domostwa Kuby. „W domu — opowiada dalej — nie było co jeść, zarobić nie było gdzie i nie miał kto, a do jadła było nas sześć zdrowych ludzi. Często gęsto szło się spać po „krzyżowej kaszy" (znak krzyża po pacierzu).

Nie z nadmiaru więc rozkoszy przyszło 15-to letniemu chłopcu opuścić progi rodzinne w poszukiwaniu za chlebem. Przystał na służbę do zamożnego sąsiada. Ale nie długo zagrzał tam miejsce. Gdy zetknął się z flisakami spławiającemi drzewo Wisłą bez wahania przystąpił do współpracy. Tym sposobem miał możliwości do poznania rozległego szmatu polskiej ziemi, jej piękna, od Krakowa aż do Gdańska, przeżycia wielu przygód, które w późniejszym czasie znalazły swój oddźwięk w broszurze „Pod trzeciego króla". Godziny wolne od obowiązków poświęcał samokształceniu. Wprawdzie uczęszczał za lat dziecięcych do szkółki gromadzkiej, której data powstania sięga roku 1844, ale szczupły program jaki podówczas obowiązywał, nie był w stanie zaspokoić istotnych potrzeb młodzieńca, którego jedynie upór, praca i wytrwałość wyniosły na męża krajowej miary.

Punktem szczegółowych jego zainteresowań była historia narodu.

Z zapałem „wertował dawne księgi i rejestry u wójta, proboszcza, czy we dworze", a szybkie postępy i opanowanie przedmiotu „pozwoliło mu zostać niezadługo dorosłym nauczycielem wiejskim". Trudności w zdobywaniu wiedzy miał bardzo duże. Nie było wówczas dostępnych dla szerokiego ogółu czytelni. Należało być dobrym szperaczem, by wynaleść tę niełodzowną dla światłego człowieka pożywkę intelektualną. W jednym ze swoich wspomnień ujawnia Bojko jak to musiał nachodzić się za „Panem Tadeuszem" zanim wreszcie go zdobył ku wielkiej radości. Kiedy zwrócił się z prośbą do miejscowego księdza, łaskawy dobrodziej odpalił mu, że książka „jest za droga i nie dla chłopa". A gdy ją wreszcie do rąk swoich dostał, nie mógł oczu oderwać od tych strof wspaniałych, które tak pięknie sławiły ojczyste zwyczaje i przyrodę. Zachwycał się szczególnie, że u Mickiewicza „żadne żaby nie grają tak cudnie jak polskie".

Studia jego prowadzone przy lampce kuchennej były mimo domowego prymitywu dosyć gruntowne, oczytanie szerokie. Wystarczy sięgnąć po pierwszy lepszy artykuł opowiadanie czy też przemówienie, a znajdziemy w nich tyle dynamiki, dowcipu, konceptów, przytoczonych anegdot i cytatów, które potrafił „przy lada sposobności znaleźć w rozległym sąsieku swej pamięci". Dał się też poznać społeczeństwu jako pisarz doskonały. Talent swój ujawnił jako publicysta na łamach wychodzących pism ludowych. Drukował więc prace w *„Chacie"*, w *„Pszczółce"*, a od roku 1891 zagospodarował się na dobre w *Przyjacielu Ludu*, skąd przeszedł do *Piasta* — poczym do *Chłopa Polskiego* i *Gospodarza Polskiego*". „Współpracował przy tym w *Nowej Reformie, Kurjerze Lwowskim, Zaraniu i in.*"

Wypowiedzi jego stały się sławne i poczytne. Trafiały bowiem zarówno do rozsądku jak i uczucia. Na tle tych głosów rozrzuconych przez Bojkę po czasopismach, jako też i ustnej wypowiedzi na zjazdach i zebraniach kwalifikują go biografowie i stawiają na równi z mężami nawołującymi w XVI stuleciu do Naprawy Rzeczypospolitej. „Gdyby mi przyszło — pisał Władysław Orkan w przedmowie do Wyboru Pism i Mów — Najbardziej przez porównanie koreślić Jakuba Bojkę, nazwałbym go *Chłopskim Skargą*". Przegląd Wszechpolski 1900—2 w artykule autora kryjącego się pod pseudo W. B. dochodzi do wniosku, że: „talent opisowy, to samo proste uczucie nasuwa podobieństwo „naszego sejmu z XVI i XVII wieku i naszych wieców chłposkich ze schyłku w. XIX.

Karjera polityczna Jakuba Bojki rozpoczęła się w roku 1895. Lata poprzednie wprowadzały go na coraz to wyższe schodki hierarchii społecznej. Polskie Towarzystwo Demokratyczno - Ludowe założone w 1894 roku przekształciło się w roku następnym na *Polskie Stronnictwo Ludowe*. Była to pierwsza właściwa reprezentacja rozwijającego się coraz bardziej w latach następnych Ruchu Ludowego.

W jednym z numerów *Przyjaciela Ludu* pisał Bolesław Wysłouch: „program nasz musi być ludowym, bo *po pierwsze;* chce tego etyka społeczna, która interesa mas ludowych za cel w działaniu społecznym uznaje. *Bo powtóre:* ...wówczas tylko wyzwolą się siły uwięzione mas ludowych, któ re podejmą *energicznie i świadomie* prace nad rozwiązaniem problemów społecznego postępu... po trzecie... w tym właśnie widzimy ideowe pogodzenie naszych ideałów narodowych *z ogólnym, demokratycznym ideałem wszechludzkim*". Takie wytyczne znalazły w Bojce gorącego wyznawcę. Czas wykazał, że był on nietylko pisarzem z urodzenia, ale dobrym politykiem działaczem „i to nie z przypadku, ale również z predyspozycji i temperamentu". Przekonywający mówca, dzielny obrońca słusznej sprawy szybko zdobywa sobie chłopskie serca. Nic też dziwnego, że wynikiem kampanii wyborczej wraz z sześciu przedstawicielami grupy Wysłoucha przechodzi jako poseł z dąbrowskiego okręgu.

Bracia szlachta nie chętnie widziała na ławach parlamentarnych wyzwolone siły chłopskie. Na każdym też kroku rzucano pod ich adresem uszczypliwe docinki. Z Bojki naprzykład „natrząsali się, że był żydowskim pastuchem". Poczciwy Kuba jednak nie dawał za wygraną. Zarówno jak pióro ostry miał i wytrawny język. W monografii o pisarzach ludowych podaje dr. Karol Koniński bardzo ciekawą reminiscencję z odprawy jaka dostała się z ust Bojki jednemu z konserwatywnych posłów. Kiedy ten ostatni rzucił pytanie: „czy to prawda, żeś poseł dawniej bydło pasał" — odpowiedział Bojko — tak jest, ale dziękuj Panu Bogu żeś pan bydła nie pasał. A to dlaczego? „A bo byś pan jeszcze do dziś pasał". „Na jednym z posiedzeń sejmowych — pisze dalej cytowany autor—Bojko rozgoryczony stałym odrzucaniem wniosków ludowców przemówił: „panowie wszystkie nasze wnioski odrzucacie i żebyśmy postawili wniosek o odbudowę Polski to byście go odrzucili jedynie dlatego, że od chłopów wyszedł". Echo tej wypowiedzi było takie, że poseł Jordan rzucił pod adresem Bojki słowo „bydlę", marszałek Badeni łzy ocierał, a „nawet prezes klubu ludowców Bernadzikowski z płaczem wyparł się Bojki".

Praca dla ludu i wśród ludu była ciężka i czasem niewdzięczna. Jeżeli dziś mamy na tym odcinku rozliczne trudności, to łatwo nam pojąć ich rozmiar przed pół wiekiem. Duszone przez całe stulecia ciężarem uległości masy chłopskie nie zdołały w sobie rozbudzić poczucia własnej godności w takim tempie jakiego wymagał ich własny interes. Niski poziom oświaty, niedostatek materialny, patronat opiekuńczy dworu a zwłaszcza plebanii stanowiły istotny pancerz, który krępował rozwój postępowej myśli chłopskiej. Na podłożu coraz bardziej rozwijających się konfliktów, które z początkowych form ewolucyjnych przeszły w ostre antagonizmy, zrodziła się w formie broszury naczelna rozprawa Bojki p. t. „Dwie dusze". Obrazuje w niej autor dwa przeciwstawne oblicza chłopskiego samopoczucia. Jedno z nich korzeniami tkwi jeszcze wyraźnie w niewolniczej tradycji pańszczyźnianej uległości, druga zaś cząstka pragnie się wyrwać z tych sideł, by postąpić krok naprzód, zgodnie z panującymi prądami epoki. Bojko jest prawdomówny. Kolcem tego dotkliwego paszkwilu dotyka również własnej osoby. Czuje, że i jego nie opuściła całkowicie zmora feudalnych przesądów. Przyznaje otwarcie, że i jego druga dusza pańszczyźniana „dotąd całkiem nie opuściła". Twierdzi jednak z całą stanowczością: „da Bóg, że się pozbędę tej potwory". Jeden jest niezawodny środek zapobiegawczy przeciwko tej duszy „starej brzydkiej pani", której „ciało od 55-ciu lat gnije" (pisał to w roku 1904). Środek ten— to oświata. Dusza ta bowiem „nie boi się ani wody święconej, ani krzyża, jeno najbardziej boi się książki i gazety". Jest w tej książeczce cały szereg momentów dotyczących stanowiska naszego duchowieństwa. Pomimo, że składa się on ze zdecydowanej przewagi synów chłopskich, niechlubną rolę odgrywa wobec macierzystego środowiska. A głos jego padł w chwili najbardziej tego potrzebującej. Był to okres nieubłaganej walki, jaką wydał ludowcom dumny kniaź kościoła rzymskiego, smutnej pamięci kardynał Puzyna. Dzielnie sekundował mu jego Ekscelencja biskup tarnowski Wałęga, znany ze swego listu pasterskiego przeciwko ruchowi ludowemu.

W dwa lata po dokonaniu pierwszego wyboru przypadł w udziale Bojce nowy niemniej obiecujący zaszczyt. Fortuna uśmiechnęła mu się tak dalece, że naznaczono go posłem do parlamentu wiedeńskiego. Na tej placówce centralnej przetrwał chłopski trybun do ostatniej chwili, tzn. aż do czasu załamania się monarszego dworu 1918 roku. Za to bardziej przykra niespodzianka wynikła z sejmem krajowym. Nastąpiło pamiętne głosowanie 1901 roku. Jak tam było z uczciwością nad urną trudno wydać bezsporne sądy. Faktem jednak się stało, że Jakub Bojko jako kandydat z chłopskiego obwodu przepadł. Strata jednak została automatycznie powetowana. Wbrew wszelkim oczekiwaniom i zawiedzionym nadziejom zostaje Bojko członkiem parlamentu decyzją obywateli miasta Lwowa.

„Była to wspaniała manifestacja demokratycznego mieszczaństwa lwowskiego — kreśli Przyjaciel Ludu — do której dołączyła się niebawem druga w Szwajcarii, gdzie Polacy wybrali Bojkę członkiem Rady Muzealnej w Rapperswilu".

Głos Jakuba Bojki podniesiony w imię postulatów chłopa polskiego niejednokrotnie przyczyniał się do rozstrzygnięcia sprawy. Wystarczy przywołać do pamięci burzliwą sesję, jaka odbyła się na jednym z plenum 1899 roku. Poseł Kramarczyk przedłożył mianowicie wniosek domagający się ścieśnienia kwalifikacji nauczycielskich i powierzenia tej roli duchowieństwu. Wokół takiego dezyderatu rozpętała się zawierucha. Szala zwycięstwa przechylała się chwilami to na tą, to na tamtą stronę. Wreszcie w momencie kiedy pozycja ludowców poważnie się zachwiała, zabrał głos Jakub Bojko, który — (powtarzając za Witosem) „w świetnej przemowie zdruzgotał na miazgę owego potwora wymysłu posła Kramarczyka".

Na kilka lat przed pierwszą wojną światową zarysowały się w Polskim Stronnictwie Ludowym wyraźne rozbieżności ideowe, które w końcu doprowadzić musiały do rozłamu. Nastąpiło to w roku 1913. Część klubu poselskiego ze Stapińskim na czele utworzyła tzw. „P.S.L.—Lewica", grupa zaś pozostająca pod wpływami Wincentego Witosa, skoncentrowała się wokół tygodnika „Piast", którego pierwszym redaktorem mianowany został Jakub Bojko. Z życia politycznego nie wycofuje się również mimo podeszłego wieku w okresie dwudziestolecia niepodległości. Widzimy go na liście poselskiej, figuruje w rejestrze senatorów, zajmuje na przemian wysokie godności jako wicemarszałek sejmu i senatu Rzeczypospolitej.

Mimo wszystkie zalety był zawzięcie prześladowany zarówno ze strony duchowieństwa jak i władz rządowych, a ponadto poniewierany przez oświeconych zachowawców".

Opowiadania chłopskie

Stefan Stanisław Gębala

O DOMU LUDOWYM

Zapada wieczór; zajęcia przy gospodarstwie — sieczka i drwa — bo cóż tam może być więcej, skończone i zaczyna się nuda długiego i zimowego wieczoru... Tak jest we wszystkich wsiach, tylko może nie we wszystkich jest tak silny, jakiś instynkt gromadzki, który — w tych wsiach z nad Sanu przedłuża te wieczory w długie i pełne gadaniny wieczorki, kominki, i inne różnie nazywane „posiady"... Znudzone dniem i jego monotonią człeczysko wiejskie bez względu na wiek i płeć i bez względu na pogodę porzuca spokój zacisznej izby garnąc się do uprzejmego sąsiada, gdzie i izba większa i dojście łatwiejsze.

Szczególnie źle się czuje młodzież, co cóż tam ma do szukania między gospodarzami i ich gospodarskimi obgadywaniami swych spraw — co mówić tu o sieczce i krowach przed chwilą odszedłszy? To właśnie wyludnia chaty z młodzieży. Zaludnia się jedna izba Domu Ludowego, a wszystko, co się tam mieści i dzieje, nosi nazwę Czytelni i żadna siła, jak dotychczas nie może jej przekształcić na Świetlicę, bo ta nazwa przyjęła się i trwa od pięćdziesięciu blisko lat.

Nieco z dziejów... Blisko pięćdziesiąt lat temu taką nazwę tej instytucji nadało studenckie koło T.S.L. z Krakowa, w czasie kiedy na miejscu tego budynku stała bankrutująca, stara karczma... Wtedy trudności były większe niż istniejące dziś. Dziś nie wyszukuje się izby do wynajęcia, a wiadomo, że wyszukiwanie jest trudniejsze i uciążliwsze od samego wynajmowania, nie ma już zwyczajowej i rytualnej niemal powitalnej pogwarki z gospodarzem, droga wiedzie prosto ku jarzejącym światłami oknom i drzwiom, gdzie nie ma zaaferowanego gośćmi gospodarza, a tylko dyżurny, który już dawno uprzątnął jako tako izbę, napalił w piecu i zaświecił.

Jesienią, kiedy już są te wieczory ziewające rudawym światłem w okienkach i mruczeniem kota na przypiecku, zbiera się gromada w tejże Czytelni, gdzie jeszcze wieje pustką i zapomnieniem, gdzie wielu rzeczy brak, lub wydaje się, że czegoś zbywa, zbiera się gromada młodych i starych, po prostu zainteresowanych i rada rozpoczyna się od narzekań na braki i niedomagania, na opuszczenie i zaniedbania, aż wreszcie jakiś głos przerywa gwar.

— No! Trzeba to jakoś zrobić!

— No to róbmy — i robi się.

Kto powołany do tego albo i niepowołany, a zniecierpliwiony przydłuższym, a bezowocnym gadaniem przewodniczy...

Dawniej, kiedy mieli tu do gadania studenci TSL, to samo odbywało się z ceremonialnym zagajeniem pełnym słów o Polsce, Ojczyźnie, chłopskich prawach i oświacie, podczas gdy chodziło o tak zwykłą i codzienną sprawę spędzenia wieczorów wśród ludzi, przeczytanie gazety, itd. Student TSL. na dodatek oddawał tę czytelnię pod opiekę i patronat nauczyciela, który znowu na skutek tego nabierał prawa do wygłaszania frazesów patriotycznych i moralizatorskich.

Wystąpienia te usztywniały atmosferę, ciążyły i prawie że przeszkadzały, nie ma jednak złego, któreby na dobre nie wyszło. Tak przyszły złe jedne i drugie wybory, które w niepodległej Polsce postawiły nauczycieli poza nawiasem wiejskiego społeczeństwa, albo przed nim, jeśli ktoś tak woli...

Ustały pompatyczne przemówienia pełne frazesów o czymś nierealnym, jak ta „mocarstwowość" Polski, przez co i Czytelnia wyzbyła się sztywności i stała się bardziej jeszcze swojska, codziennie potrzebna...

Na codzień: Chodzi więc o ten wolny czas, swobodniejszą rozmowę, o bliskość ludzi i o wszystko, czego domaga się ten t. zw. instynkt gromadzki, ten sam, który ludziom w mieście czyni potrzebnymi kluby, czytelnie, a potrosze i kawiarnie i bary.

O zmierzchu już gwarno. Gazeta, jak zwykle spóźniona o tydzień czy więcej nadeszła wreszcie, czasem chyba w dzień targowy nowsza rozkładana i rozbierana na kartki chodzi od stołu do stołu, by zużyć się wreszcie, ale i dać temat do całonocnej i gwałtownej nieraz dyskusji. Nim jednak dokonano wyboru tej gazety, dyskusja była o wiele gwałtowniejsza. Jednym, starszym wiekiem zachciało się fachowych rolniczych pism, na co usłyszeli wiele dowcipnych uwag o zastosowaniu fachowej pracy w takim a takim gospodarstwie, innym znów podoba się technika, ilustracja i w ogóle pisma nic wspólnego nie mające z pługiem, broną, cepami...

Mamy tego dość cały dzień i cały rok, a wy gospodarze, możecie się zdobyć na swoją gazetę. Tylko co do jednego następuje ogólna zgoda: trzeba skwapliwie unikać gazet, które prenumerowało się ubiegłego roku... Bo to płaci się za trzy miesiące, a przysyłają przez pół roku. Nikt należności nie dopłaca, gotowi więc „oberwać" znowu kwoty za zaległość. Inne kwestie powstają przy próbach przyczepienia Czytelni do którejś z organizacyj. Do Samopomocy nie da się, do Wici także nie, bo w pierwszej z nich są starzy, w drugiej zaś młodzi; tu zaś są jedni i drudzy.

Stałe spory wywołuje kwestia miotły i krzeseł zabranych przez Czytelnie z kancelarii gromadzkiej, a kończą się one zuchwałym wystąpieniem dyżurnego, który zapewnia sołtysa, że tu nie jedna jeszcze miotła się zedrze i że my a gromada to jedno. To samo dotyczy i samego budynku Domu Ludowego. Chodzi o prawa własności, dziś jednak sprawę upraszcza się nie zagłębiając się w zawiłości hipotek i katastru, a orzeka się po prostu, że dom jest nasz bez względu na to, do kogo należy tytuł własności.

WYSIŁKI KU UNOWOCZEŚNIENIU

Dziś nie znamy nazwy czytelnia, bo w użycie weszła świetlica. Sama nazwa ma podkreślać swojskość tej instytucji, tymczasem słowo świetlica jest na wsiach zrozumiałe, lecz nowe. Te chałupy, gdzie na ich miejscu stoją już kilkoizbowe domy nie miały świetlicy, miały izbę mieszkalną, komorę i olbrzymią sień na przestrzał.

W celu unowocześnienia czytelni, namówiono jednego z młodych do odbycia kursu kierowników świetlicowych... Pojechał i zaczął z miejsca — Urządzimy zabawę świetlicową.

— A na co? — pada naiwne, lecz odstraszające od wszelkich prób w tym kierunku pytanie.

Kierownik rezygnując z inowacji i z czytelni, nie zastyga w bezczynności, urządza przedstawienie. Dużo kłopotu sprawia wybór sztuki, bo jak wiadomo, „chłopi arystokraci" na „Żyda w beczce" nie pójdą. Czytelnia staje się między innymi poczekalnią dla zespołu amatorskiego, ożywiają się rozmowy i śmiechy, bo przychodzą przecież aktorki. Matki ich traktują sprawę bardzo poważnie, wyprawiają swe córki na te próby, odświętnie odziane, nie ma jednak w tym nic dla nich nowego, bo już kilka lat temu, same chodziły próbować swych sił i talentu scenicznego. Jedną nową rzecz wprowadza kierownik świetlicowy: to inscenizacja pieśni ludowych. Są one nowością w każdym calu. Nowością są teksty tych piosenek ludowych, nowością jest także pantomina, rzecz niesłychana i niewidywana tu w centrum ludowości, w rodzinnych stronach Kurasia, Słomki, Wiktora, Piętaka..

Jedna jednak rzecz wymaga koniecznie unowocześnienia: to biblioteka. Zwykle czarna szafka zawiera do dwustu książek bez doboru, z różnych czasów i w ogóle są to naiwności... Są tu „Dzieje świętej inkwizycji" i „Katechizm katolicki", dar księdza proboszcza. I w ogóle: wszystko to dary. Najstarsze z nich to podarunki akademickiego Koła T. S. L. dzieła Rodziewiczówny i Sienkiewiczowska „Trylogia". Poza tym broszury agitacyjne różnych stronnictw sprzed pierwszej wojny światowej, z czasów rozłamów w Ruchu Ludowym. Kilka różnych bardzo jakością i wiekiem powieści dopełnia całości tego kompletu.

Poza tym nie ma zwyczaju kupowania książek, tak jak nie było zwyczaju posyłania dzieci do szkoły latem, jak nie było zwyczaju budowania komina w chacie itd. Przymusy, które wprowadziły te zwyczaje, błogosławione są... Takim też będzie przymus, bez względu na to, jaką będzie miał formę, czy to będzie w formie „książkowego", który będzie przymusowym dodatkiem do każdej ilości wyrobów monopolu spirytusowego, konsumowanego w dnie jarmarczne i uroczyste, czy też jakąkolwiek inną będzie miał formę, błogosławionym także będzie. Bo oto te dziewczęta szukające w bibliotece „Wierszyków" wpatrują się całymi wieczorami w książki obce im i obojętne dotychczas...

Bo młodzi ludzie potrafią w ciągu kilku dni przerzucić tę tzw. bibliotekę, zapoznać się z historią Ruchu Ludowego w pierwszym dziesiątku lat bieżącego stulecia, a współczesność poznają z kalendarza przygodnie nabytego, albo przyniesionego do domu przez domokrążcę.

W czym sens? Chodzi o to, że nie wszędzie trzeba zaczynać od nowa. Trzeba także wziąć pod uwagę to, co już jest i co stało się już zwyczajem.

Józef Pogan

SMUTNA RZECZYWISTOŚĆ

Bezustanna praca przy stoliku męczy człowieka, a nawet i przygnębia. Postanowiłem więc wyjechać na parę dni do Krakowa odwiedzić przyjaciół i znajomych, porozmawiać z nimi na aktualne tematy, choćby tylko dla porównania poglądów tamtejszych ludzi ze śląskimi. Straconych dni na tę „eskapadę" wcale nie żałuję, choć niezbyt miłe zaobserwowałem tam fakty.

Już w pierwszym domu mych przyjaciół — usłyszałem od służącej słowa, które ostrym świdrem zawierciły mi w mózgu. Było to już po kolacji. Wszedłem do kuchni, by porozmawiać z Zosią. Opowiadam jej o swym życiu, o Śląsku, ona zaś o sobie i różnych nam znajomych. Jest smutna i przygnębiona. A no starzeje się i zapewne martwi, że już nie wyjdzie za mąż i do śmierci musi pańskie wycierać progi.

— Miałam narzeczonego — mówi — ale był tak samo biedny jak i ja. Możebym i wyszła za niego, ale on chciał jechać ze mną na Zachód, a ja się bałam.

— Czego? — pytam zdziwiony. — Jedź, Zosiu, jak tylko masz z kim i wyzwól się z nieszczęsnej roli służącej — radzę jej życzliwie. — Już piętnaście lat pracujesz w jednym miejscu.

Zosia wyciera oczy chusteczką. — Wiecie Poganie, pojadę na Zachód, ale po wojnie — mówi zasmucona.

Wytrzeszczyłem oczy z ogromnego zdziwienia i cały zamieniłem się w słuch. — Zosiu, jak ty powiedziałaś? — pytam.

— No, że na Zachód pojadę po wojnie.

— Boże! — westchnąłem — jakżeż wpływ chlebodawców Zosi zaciążył nad nią. Jej słowa „po wojnie" oznaczają dobitnie: „Moi państwo są wielkimi przeciwnikami obecnego ustroju demokratycznego".

Po chwili przyszła Stasia, przyjaciółka Zosi, też długoletnia służąca w jednym domu. „Odrobiła" się już i przyszła chwilkę na pogawędkę. Jest wesoła, bo mąż jej wrócił przed miesiącem z zagranicy. On chce jechać na Zachód, ale Stasia się boi czegoś i nie słucha męża. Może później pojedzie, ale na razie woli służyć. A jej Pietrek jak sześć lat przecierpiał w niewoli — to jeszcze pół roku, a nawet cały przecierpi biedę. A później jak się już wszystko uporządkuje — zabiorą się oboje do życia „na całą parę".

Rozmawiałem z nimi przeszło godzinę i tłumaczyłem po swojemu. Przekonałem je nieco. A gdy położyłem się w łóżku — długo nie mogłem usnąć. Rozmyślałem o doli Zosi i Stasi, które w sierocym życiu nie mniej ode mnie ucierpiały nędzy.

Nazajutrz odwiedziłem krewnego. W Krakowie pracuje już od roku. Nie chwali sobie zbytnio, lecz wcale nie narzeka. Pracuje i żyje skromnie. Lepiej, niż przed wojną, bo wtedy nie miał pracy. Pytam go szczegółowo, co słychać w rodzinnych Będkowicach, bo choć stale mam stamtąd różne wiadomości, lecz chcę z różnych ust to usłyszeć.

Pobili się strasznie w Będkowicach — opowiada mi. — Siekierami się porąbali i młotkami „popukali". I o nic prawie. Jeden pijany ubliżył innemu i bitka. Jeden chyba umrze, bo ma całą głowę sharataną. Do doktora wiozą go codzień. Ten co dostał młotkiem — poleżał trochę, ale już łazi.

„Bohaterowie" tej awantury — to młodzi ludzie: czterech parobczaków i jeden żonaty, około czterdziestu lat. Wszyscy zdolni do pracy, a tymczasem jeden leży konający, drugi ledwie łazi, a inni pójdą do aresztu. Smutne to bardzo.

Ten pobity nie ma domu, pół morga ziemi i czworo dzieci. Z żoną nie żyje już od roku. Zbałamuciła go młoda wdowa. Opuszczona kobieta wybija szyby w oknie uwodzicielce męża, lecz nic to nie pomaga. W czasie referendum ludowego, przed kościołem, była checa: na drodze, opodal lokalu wyborczego wobec publiczności obie kobiety „ucapiły się za łby". Pokrzywdzona rzucała się jak opętana. Chciała się zemścić wobec wszystkich parafian.

Z kolei zapytuję o dalsze sprawy.

— Wiecie, mam szczęście, żem wyszedł z Będkowic — mówi zadowolony — bo tam całe lato i teraz w zimie pompa w studni zepsuta. I wodę ludziska noszą pod dwukilometrową górę. Nie ma komu zająć się naprawą pompy.

— A co z Kołem Sam. Chłopskiej — pytam ciekawie.

— Chocho, kiedy się ta już Koło rozpadło... Niezadługo jak prezes, skarbnik i wy, sekretarz, wyjechaliście na Zachód.

— To w Będkowicach nie ma żadnej organizacji, tak starszych jako też i młodzieży? — pytam ciekawie.

— Nie ma. Starszym wystarcza kościół i pogwarki sąsiedzkie, a młodzieży zabawa, gra w karty, a do reszty.... flaszeczka bimbru.

— No, no, nie przesadzaj — powątpiewam. — Przecież tam powstał Uniwersytet Ludowy.

— No i co z tego? Tam przecież wykłada też i siostra księdza. A księdza znacie dobrze. Pamiętacie przecież niektóre jego słowa w czasie kazania: „Składanie ofiar na kościół przez parafian jest psim obowiązkiem... Nie myślcie, że ja potrzebuję waszych pieniędzy... Mnie Pan Bóg da tyle pieniędzy ile mi trzeba... Ja gwiżdżę na wasze pieniądze"..

Wszystko to pamiętam doskonale, jak również znam i obecnie panujące stosunki w Będkowicach i okolicy. Mam stale stamtąd wiadomości. A pytam tylko z ciekawości dla potwierdzenia smutnej rzeczywistości.

Gdzie tu szukać winy? — bo w tych prostackich, pełnych temperamentu ludziach tej winy niewiele widzę. Są to ludzie jak wszyscy inni. Żyją swoją tradycją, której na imię „zacofaństwo". Starsi są pobożni i wszelką kulturę zastępuje im różaniec, książka do nabożeństwa i pieśni... Więcej oni niewiele widzą przed sobą. I to właśnie ma swoją dobrą stronę, bo gdyby nie ta pobożność — byliby zapewne gorsi: nie bali by się grzechu i więcej jeszcze czynili zła.

Ale młodzież trzeba wychowywać na dobrych i zdolnych obywateli kraju.. Oprócz kultu religijnego — trzeba im coś więcej: — oświaty kaganiec. Im kult religijny nie wystarcza, ba, nawet zanika w ich duszach. Wpływ z zewnątrz jest wielki... Orientują się nieco w sytuacji życiowej, przeto nie wierzą we wszystkim starszym, a nawet księdzu. A nie mając wytycznej drogi błądzą po manowcach i demoralizują się... Puszczają w ruch siekiery i młotki.

I nie należy się wcale dziwić temu, wszak wiadomo, że wszelki posiew zła prędzej znajduje podatny grunt w duszach nieświadomej młodzieży, niż posiew dobra. Osty i ciernie rosną w najlichszym miejscu, ale szlachetna roślina potrzebuje pielęgnacji. Lecz w niektórych zapadłych wioskach nietylko brak pielęgniarzy, ale i siewców zdrowego ziarna. Na przykład w Będkowicach — oprócz dwu nauczycielek — nie ma inteligentnych ludzi. Nauczycielki nic społecznie nie robią. Jedna z nich — mieszczanka, znieważa nietylko chłopów, ale nawet i dzieci. Pamiętam dobrze jak jednej dziewczynce w szkole powiedziała: „Ty masz krówskie ślepia". Druga nauczycielka „anielska dusza" lecz chorowita i bez energii.

Taka opuszczona wieś jak Będkowice, (a wieleż ich jest podobnych) pod względem moralnym stacza się jakoby w dół, zamiast iść naprzód. A w ślad za upadkiem moralnym następuje upadek materialny. A przecież nie wielkich wysiłków potrzeba, aby ją wyrwać z tego bagna. Mam na to praktyczne dowody. Otóż w 1929 roku przy pomocy instruktora założono tam Koło Młodzieży Wiejskiej „Siew". Ja byłem prezesem Koła. I choć jakże wtedy wiele mi brakowało do prowadzenia młodzieży ku lepszemu, jednak wyniki były jakie takie: zespół teatralny przy najmniej zimą był czynny bezustannie. Przedstawienia odbywały się co najmniej raz w miesiącu. A jakąż satysfakcję z tego mieli aktorzy! Jeden drugiego starał się prześcignąć. Nawet niektórzy żonaci chłopi i zamężne kobiety chętnie grali swe role. Młodsi przystępowali też do Koła. A na zabawie bywało spokojnie jak w kościele. Nie tylko nie bywało kłótni czy bójki, a nawet rzadko ktoś zaklął. A gdy przypadkowo wszedł pijak — wyprowadzano go delikatnie za drzwi. Bo na zebraniach młodzież postanawiała i przyrzekała być wzorem dla wsi.

Ale niezbyt długo to trwało. Przeszkadzali starsi. Oczywiście nie wszyscy, lecz była ich większość. Drwili z młodzieży, wyśmiewali się, wkrótce „Koło" stało się jakoby urągowiskiem.

Miary dopełniali jeszcze strażacy. Chodziło im o umniejszanie się dochodów z zabaw. Nie rozumieli, że kształtowanie się młodzieży na dobrych obywateli ma wcale nie mniejsze znaczenie, od roli strażaków broniących mienia ludzkiego. Wciągali więc członków Koła do straży. Mnie zaprosili do kierowania przedstawień i wybrali sekretarzem.

Powoli członków w Kole młodzieży ubywało, aż wreszcie Koło się rozpadło. Po paru latach znów je zorganizowano, lecz niewielu członków doń wstąpiło i niebawem rozwiązano je.

Nie wnikam wcale w to, czy celem Koła Młodzieży Wiejskiej „Siew" było wychowywanie pańskich sługusów, czy też nie. Interesuje mnie sam fakt, że zorganizowana młodzież kształtowała się w kręgu działań społecznych, a tym samym podnosiła by się i materialnie. I jasnym jest, że gdyby na przykład wówczas była to organizacja postępowa i nie rozpadła się — średnie jej pokolenie tj. dzisiejsi gospodarze staliby już na wyższym poziomie świadomości społecznej i byliby zdolni do zadań, które stawia przed nimi dzień dzisiejszy. I ci dalej wywieraliby wpływ na młodzież. Zacofaństwo pozostało by tylko u starców. Lecz o tych nie chodzi. Dla nich tylko różaniec, nic więcej.

Ale młodzież pragnie innego życia... jakiegoś ujścia swej ambicji i temperamentu. A że nie zawsze odpowiadają jej przesądy, bigoteria i konserwatyzm starszych — czy też słowa księdza — idą w innym kierunku. Wiatr demoralizacji miota nimi i rzuca na manowce. Bo cóż mają począć, gdy nie mają wyboru między złem a dobrem? Nie ma kierownika kulturalnego, nie ma świetlicy, biblioteki, pism... Za to jest sklepik do gry w karty, jest też i bimber, a po pijanemu można się siekierą porąbać, czy też młotkiem „popukać". Robi się to niemal na wyścigi, jeden „kozak" nad drugiego... Ale gdyby było skupisko kulturalne — też by szło na wyścigi..

Korespondencja Mariana Miniasa może nasuwać czytelnikowi sugestie, że na froncie oświaty rolniczej dzieje się źle.

Autor przedstawia sytuację na jednym wybranym odcinku. Nie należy jego uwag generalizować. Oczywista, że prócz szkół dobrze postawionych są i takie, które się „rozsypują". Wina w dużym stopniu leży po stronie czynnika społecznego. Szkodliwe społecznie jednostki z gromady wiejskiej wyszarpują z dobra ogólnego najcenniejsze kęsy, utrącają z punktu możność podbudowania jakichś solidnych podstaw dla takiej instytucji, jaką jest gminna szkoła rolnicza czy gimnazjum rolnicze. To jest błąd lokalny, rozumiemy słuszne oburzenie autora. Sprawa wykwalifikowanego personelu jest bolączką, z którą para się Departament Oświaty Rolniczej. Władze centralne problem ten rozgryzają. Ma on przecież jeszcze i stronę społeczną. Z opisu Miniasa wynika, że wieś Dobroń była celowo przez sanację rozwijana na wieś pokazową, podobnie jak Lisków ks. Blizińskiego. Te tradycje mogły w niej i musiałby przetrwać. Dlatego nieunikniony był konflikt w pierwszym okresie powstającej Polski. Starzy miejscowi działacze mają zapewne przewagę organizacyjną i autorytet tradycji, nowym mogło braknąć i jednego i drugiego, ale trudności w rozwiązaniu nowych potrzeb miejscowych tkwią w różnicy postaw społecznych. I te różnice muszą być zniesione, aby ułatwić i okolicy i Departamentowi Oświaty Rolniczej rozbudowę Szkół w wielu podobnych Dobroniach.

Redakcja.

Marian Minias

Podstawy istnienia gminnych szkół rolniczych

Aby przedstawić dokładnie znaczenie gminnych szkół rolniczych, gimnazjów i liceów rolniczych dla wsi, aby udowodnić, że założenie którejkolwiek z tych szkół, powinno wymagać poważnego zastanowienia się, zwłaszcza ze względu na problem doboru fachowych sił, opiszę gminną szkołę rolniczą we wsi i gminie Dobroń, powiatu łaskiego.

Wieś Dobroń leży przy autostradzie i linii kolejowej Łódź — Kalisz. Od fabrycznego miasta Pabianic odległa jest o 7 km, a od powiatowego Łasku o 9 km. Gromada Dobroń składa się z kilku wiosek: Dobroń Podduchowny, Stary, Mały, Duży, Żabieniec i dwór; — razem — około 200 numerów.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową ludność Dobronia zrzeszała się w legalnych i nielegalnych organizacjach, kółkach dramatycznych i samokształceniowych, dążąc w ten sposób do zdobycia wiedzy. Wyjazdy chłopców i dziewczyn do szkół rolniczych w Pszczelinie, Kruszynku i Sokołówku, mówiły same za siebie. Nie lękali się gróźb rzucanych z ambony, ani ci, co jechali do szkół, ani też ci, co czytali „Zaranie" czy też „Kursy Staszycowskie". Ci to, stali się podwaliną tajnych organizacyj wojskowych, które walczyły o wyzwolenie Ojczyzny.

Z organizacyj legalnych istniała Ochotnicza Straż Pożarna, dęta, amatorska orkiestra, prowadzona przez uzdolnionego gospodarza, który nie tylko, że nauczył wszystkich grać, — zupełnie surowy materiał — (niektórzy z grających nie umieli czytać ani pisać; nauczeni jednak nut, grali doskonale); — lecz sam rozpisywał nuty na trzydziestokilku osobowy komplet. Tak był zdolny, że usłyszany pierwszy raz utwór, rozpisał sam na wszystkie instrumenty i głosy. Istniał również czterogłosowy chór kościelny i Kółko Rolnicze.

Dobrońscy działacze znani byli szeroko. Nie brakło ich w żadnych wystąpieniach przeciw zaborcom; np. orkiestra brała udział w pochodach w 1905 roku w Pabianicach, a młodzi z „Młodzi idą", jechali jako kawaleria w krakowskich czapkach i barwach narodowych, lecz zostali rozpędzeni przez kozaków.

Po odzyskaniu niepodległości, zabrali się ideowcy do pracy z całym zapałem; a zapał ten był wielki i niewyczerpany.

Założono siedmioletnią szkołę powszechną. Pobudowano olbrzymią wozownię strażacką, salę na zebrania i uroczystości i spinalnię. Na sali umieszczona była duża scena, która miała dać możność rozwijania się aktorskim talentom. (Pierwsze sztuki odgrywane były jeszcze za czasów rosyjskich w wielkiej stajni pocztowej). Wystarano się w Dyrekcji Kolei Państwowych o przystanek pociągów osobowych, który od 1927 roku, ułatwia dojeżdżanie młodzieży do szkół w Pabianicach. (Przedtem chcący się uczyć w gimnazjach — a takich było dużo — chodzili codziennie 18 km. pieszo). Pobudowano dwupiętrową, murowaną szkołę powszechną. Postawiono duży dom parafialny, gdzie oprócz dużej ilości mieszkań dla służby kościelnej i różnych instytucji, założono dużą salę ze sceną. Założono na terenie gminy dużo dróg szosowych. W samym Dobroniu wszystkie ulice są brukowane. Wszystkie drogi w całej gminie, nawet piaszczyste, mają po jednej stronie chodniki, a szosa główna, od gminy do kościoła, na przestrzeni 2 km, ma chodniki po obu stronach, miejscami wyłożone krawężnikami.

Przed wojną na terenie Dobronia były następujące organizacje: Ochotnicza Straż Pożarna, Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń, orkiestra, która na popisie wszystkich orkiestr strażackich, — w tym były dwie pabianickie — wzięła pierwsze miejsce; chór śpiewaczy, kościelny, który w 1939 roku wziął pierwsze miejsce na popisach chórów kościelnych z całej diecezji w Łodzi; drugi chór męski i mieszany (nie kościelny); Koło Rezerwistów, mające bogatą i dobrze zaopatrzoną bibliotekę; Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej Żeńskie i Męskie, posiadające również śliczną bibliotekę; Katolickie Koło Kobiet i Mężów, posiadające bibliotekę religijną; dobrze wyposażony Związek Strzelecki; Klub Sportowy; Koło Młodzieży Wiejskiej „Siew", Koło P. C. K., L.O.P.P., Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej i Związek Zachodni. Oprócz trzech, wyżej wymienionych bibliotek, była jeszcze jedna w szkole powszechnej, jedna wędrowna, a ponadto było kilku gospodarzy, miłośników czytelnictwa, którzy skompletowali sobie wcale pokaźne zbiory. Niektórzy mieli po kilkanaście dzieł jednego autora, a byli i tacy, co mieli wszystkie dzieła kilku autorów, np. Kraszewskiego, Żeromskiego, Reymonta, Sienkiewicza, Prusa, Rodziewiczówny, Dołęgi Mostowicza i t. d.

Jak wynika z powyższych zestawień, społeczeństwo dobrońskie garnęło się do oświaty. Uświadamiano się i wyrabiano społecznie. Biblioteki działały sprawnie. Książki były rozchwytywane. „Prawo wieku dojrzałej młodości", któremu podlegała i podlega prawie wszystka młodzież polskich wiosek, w Dobroniu było nieznane. Jesienne i zimowe wieczory były spędzane przy książce, którą często czytano na głos całej rodzinie.

Ludzie dbali o zdobywanie wiedzy i dokształcanie się. Dbano o kształcenie młodzieży. Corocznie 50 proc. młodzieży, kończącej siedem oddziałów, szło do innych szkół; — do gimnazjum i Szkoły Rzemiosł w Pabianicach. Szkoła ta wydała z młodzieży dobrońskiej dużo dzielnych fachowców w przemyśle metalurgicznym. Dużo młodzieży jeździło do Łodzi. Specjalnie kursujący pociąg szkolny zabierał co rano około setkę uczącej się młodzieży.

Nie tylko w dziedzinie kulturalno-oświatowej zdobywali Dobroniacy poważne sukcesy, lecz i w dziedzinie kultury rolnej. Gospodarstwa, pomimo kryzysu, który niejednej rodzinie podciął egzystencję na długie lata, zostały postawione na bardzo wysokim stopniu organizacji. Ze względu na położenie — blisko stutysięcznego, fabrycznego miasta Pabianic — gospodarstwa zostały nastawione na hodowlę krów, świń i na produkcję warzyw. Dzięki niezmordowanej pracy, zapobiegliwości i wiedzy rolniczej, zdobytej przez starszych w Pszczelinie a młodszych w szkole rolniczej w Sędziejowicach, kilku gospodarzy miało gospodarstwa wzorowe, do których przyjeżdżały często wycieczki; n. p. z Łódzkiej Izby Rolniczej; co roku przyjeżdżali uczniowie Szkoły Rolniczej w Sędziejowicach; wycieczka Związku Nauczycielstwa Polskiego; wycieczka z województwa z wojewodą Hauke - Nowakiem; wycieczka z Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych pod przewodnictwem ministra Poniatowskiego; wycieczka Rządu i t. d.

Pomimo ciężkich, przedwojennych czasów, ludzie poprawiali sobie gospodarstwa. Rozrzucali drewniane domy, a stawiali murowane. Cały Dobroń Stary, Mały i Duży jest murowany. Na trzy lata przed wojną zostało założone światło elektryczne. Zakładano także radia.

Dobroń pretendował do wsi wzorowej. Na końcu Dobronia Starego jest stary modrzewiowy kościół, zbudowany w 1772 roku, a za nim jest dwór, który często zmieniał właścicieli, rekrutujących się z łódzkich fabrykantów. Zmiana właścicieli powodowana była deficytową gospodarką.

Wojna w 1939 roku zahamowała rozwój Dobronia. Wysiedlania, aresztowania i wywózki w głąb Rzeszy, rozmiotły dobrońskich społeczników. Gospodarka wołyniaków była wyniszczająca.

Opis powyższy, jakkolwiek zbyt długi i zdawałoby się nie mający nic wspólnego z tematem, ma swój sens. Ma on wskazać na mocne podłoże przy obecnej powojennej pracy. Podłoże to powinno być punktem wyjścia do wszelkich prac, gdyż w przeciwnym razie zamierzenia mogą nie osiągnąć celu.

Po odzyskaniu wolności, kiedy wrócili powysiedlani i wywiezieni w głąb Rzeszy, dużo nie odliczyło się z najlepszych działaczy. Ci jednak, co zostali, zabrali się znów do pracy nad podźwignięciem zrujnowanego wojną Dobronia, lecz napotkali na opór ze strony tych, co byli na miejscu za Niemców. Ci, jako pierwsi zagarnęli władzę gminy w swoje ręce i powracających nie dopuścili do udziału w pracach gminy. Oto ich słowa: „Dziś zmieniły się czasy. Nowi ludzie doszli do władzy. Starzy spać". I starzy odeszli — nie starzy wiekiem, lecz pracą społeczną.

Nie byłoby w tym nic strasznego, że nowi ludzie wzięli się do pracy. Wprost przeciwnie... niech nowi pracują.

Może ci starzy rzeczywiście źle pracowali?

Gdyby tak było... Niestety, jest inaczej.

Pomijam gospodarczą pracę gminy, bo ta mnie, jako oświatowca mniej obchodzi. Poruszę natomiast zagadnienie oświaty.

Znaleźli się ludzie, właśnie z tych przedwojennych, rzekomo starych działaczy, usuniętych w kąt, którzy dążyli do założenia w Dobroniu, na miejscu majątku przeznaczonego na parcelację, gimnazjum rolniczego. Ludzie ci rozważając, doszli do przekonania, że gminna szkoła rolnicza, o której wtedy jeszcze dochodziły tylko dalekie echa, nie ma w tej chwili racji bytu, a to z tego powodu, że przed wojną jeździło do różnych szkół w Pabianicach i Łodzi około stu dzieci, to teraz, po sześciu latach przerwy w nauce, ilość ta zwiększy się. Nie we wszystkich przedwojennych szkołach średnich był utrzymywany należyty stosunek względem dzieci wsi. Nieraz pomiatano chłopskim dzieckiem, co bolało ich ojców. Dlatego też, ojcowie ci, pragnąc na przyszłość zapobiec temu, co było przed wojną, mając ku temu sposobność i okazję, chcieli uniezależnić swoje i całego Dobronia dzieci od szkół w mieście. Drugą pobudką do założenia gimnazjum rolniczego w Dobroniu, była sama droga do szkół w mieście i marnowanie na nią czasu. Pomimo pociągu, codzienna podróż, wyczerpywała dzieci, co odbijało się na zdrowiu i nauce.

Pomimo, że zabudowania dworu były małe i niewystarczające pod ten typ szkoły, nie zaniedbano starań. Obok dworu były liczne, ładnie utrzymane baraki „poniemieckie", które w zupełności odpowiadały na pomieszczenie dla klas i nawet na internat dla dzieci z odległych wsi. (We wszystkich barakach było światło elektryczne, wodociągi i kanalizacja). Starania, jakie poczyniono w Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego i w powiecie, rokowały jak najlepsze nadzieje. Podstawą jednak do tego, aby władze zajęły się tą sprawą poważnie, powinno być wystąpienie Gminnej Rady Narodowej z wnioskiem o założenie tego typu szkoły.

Gminna Rada Narodowa nie myślała jednak o żadnej szkole ani gimnazjum. Jedyną ich pracą były kłótnie o podziały poniemieckich gospodarstw, godzenie powaśnionych wysiedleńców i myśl o uzyskaniu jak największej działki z majątku. Znaleźli się i inni członkowie Zarządu Gminnego, którzy prawem kaduka osiedlili się po ustąpieniu Niemca w majątku i nie dopuszczali na plenum Rady ani słowa o założeniu szkoły, gdyż rokowali sobie nadzieje, że uda im się zagarnąć ośrodek dla siebie, zaś przedwojenni działacze, nie mając głosu w Gminnej Radzie Narodowej, ani też w Zarządzie Gminy, nie mogli przeprowadzić swoich zamierzeń. O gimnazjum rolniczym w Dobroniu pozostała tylko legenda.

Kiedy pełnomocnik do reform rolnych przeprowadzał podział majątku, znów znaleźli się ludzie, którzy domagali się wydzielenia dużego ośrodka pod szkołę, lecz nie poparci przez władze gminy, nic nie zdziałali. Ośrodek został wydzielony (5 ha), lecz najgorszej, podmokłej ziemi, która za czasów niemieckich nie była uprawiana, a leżała odłogiem. Podział majątku został przeprowadzony tak skrupulatnie, że ośrodek został bez jednego mebla, bez konia, z jedną krową, bez narzędzi, bez paszy, bez zasiewu — słowem — puste ściany, i w tym to właśnie ośrodku założyły władze Urzędu Ziemskiego gminną szkołę rolniczą. W zeszłym roku chodziło do niej kilkanaścioro dzieci, gdy tymczasem do Pabianic i Łodzi do gimnazjum jeździ ta sama ilość, co przed wojną i niestety jest nadal traktowana po macoszemu, zarzuca jej się, że zajmuje miejsce dzieciom z miasta. Dzieci skarżą się, że im opiekunki internatów wymyślają od chamów, a dziewczynki od dziwek.

Ludność Dobronia ustosunkowała się początkowo dość krytycznie do gminnej szkoły rolniczej, lecz po poznaniu jej celów, stosunek ten w krótkim czasie uległ znacznej poprawie. Zaczęto zgłaszać kandydatów i wreszcie szkoła ruszyła, przy kilkunastu uczniach i uczennicach. Jaki był poziom nauki, pomijam. Brak programu, brak wykwalifikowanych sił, zmusza nas do przemilczenia poziomu nauczania; ale za to nie możemy pominąć poziomu gospodarki i stosunku szkoły do środowiska.

Na wyszabrowanym ośrodku nie zrobiłby szkoły sam Salomon, a cóż dopiero zwykli śmiertelnicy. Nic też dziwnego, że gospodarstwo w gminnej szkole rolniczej w Dobroniu stoi niżej krytyki, lecz jeszcze gorzej i niżej krytyki, przedstawia się stosunek personelu szkoły do środowiska.

Personel szkoły, a szczególnie kierownik nie tylko, że nie zna dotychczas nikogo ze wsi, ale nie zna i rodziców uczniów. Nie było wypadku, żeby starał się z kimś rozmawiać, albo nawiązać stosunki. A przypomina mi się przedwojenny administrator, którego nie widziałem nigdy rozmawiającego z chłopem — gdy byłem kiedyś załatwić pewną sprawę, rozmawiał ze mną przez uchylone drzwi. Do kościoła przemykał się niepostrzeżenie specjalną furtką w parku, kiedy przy przechodzeniu z parku do kościoła zdarzyło mu się spotkać chłopa, odwracał się, jak od czegoś, co cuchnie, a pani administratorowa wyjmowała chusteczkę i wachlowała powietrze około nosa. Tą samą ścieżką i furtką przemyka się obecnie kierownik gminnej szkoły rolniczej i w dziwny sposób, też unika spotkania z chłopami, wszystko jedno z jakim wykształceniem. Czyżby atmosfera pańskości i wyższości dobrońskiego dworu działała jeszcze tak długo? Zawsze i wszędzie otacza się auerolą wyższości, a takich ludzi chłop nie tylko że nie szanuje, ale nie cierpi. Za stronienie od chłopa, chłop odpłaca tym samym. Pogarda za pogardę. Nic też dziwnego, że stosunek ludzi do kierownika instytucji, odbija się na samej instytucji. Nadomiar złego, wśród samego personelu nie panują nadzwyczajne stosunki, nie wpływa to budująco na gromadkę szkolną, obniża powagę szkoły w oczach wsi.

Rezultat powyższego nie kazał czekać na siebie zbyt długo. Instytucja o takich pracownikach nie może istnieć. Nic też dziwnego, że szkoła rolnicza w Dobroniu, po pół-roku istnienia stanęła. Do obecnej pory nie ma ani jednego kandydata.

To są niezdrowe stosunki, bardzo niezdrowe, ale też i nie odosobnione. Strach bierze pomyśleć, że tyle wkładu włożonego w zakładanie szkół rolniczych, marnuje się, że tyle z tych szkół kończy już swój krótki żywot, szkół, o które walczyło tyle chłopskich pokoleń, których wieś tak pragnęła i pragnie.

Aby stosunki dobrońskie nie były czymś odosobnionym, wspomnę o innej gminnej szkole rolniczej w Drzazgowej Woli w powiecie piotrkowskim, która też nie ruszyła od nowego roku szkolnego. Rozmawiałem z matką jednego z uczniów z ubiegłego roku szkolnego i pytałem się, dlaczego nie ruszyła?... — „Skąd ma ruszyć" — mówi mi — „kiedy tam niczego nie uczą. Z polskiego i rachunków może tam się i czego nauczył, chociaż ja nie widzę, żeby lepiej pisał i czytał jak przedtem, natomiast z innych przedmiotów nic. Kto ma ich uczyć? ci, co sami nic nie umieją?". (Personel tej szkoły stanowią uczniowie Rocznej Powiatowej Szkoły Rolniczej). W innej gminnej szkole rolniczej jest nauczycielem wychowanek Powiatowej Szkoły Rolniczej, największy tępak z owego rocznika, który do dziś nie napisze zdania, w którym nie byłoby błędu. Ludzie wokoło podśmiewają się z niego, z tej szkoły w której uczy i z tych gospodarzy, którzy posyłają tam dzieci. W innej jeszcze szkole, kiedy krowa po wycieleniu dostała gorączki porodowej, kierownik — wychowanek Powiatowej Rocznej Szkoły Rolniczej — jeździł po różnych wsiowych znachorach z błagalnymi prośbami o ratunek, a gdy ci odmówili, pojechał do odległego o 18 klm. miasteczka do lekarza, tymczasem krowa, która mogła być uratowana natychmiast, leżała półtora dnia w chorobie. Jeszcze w innej szkole zdechła krowa z zasuszenia i koń na kolki.

Takich i podobnych wypadków, możnaby naliczyć dużo. Może w innym czasie wypadki te nie byłyby brane w rachubę, ale dziś, gdy gminne szkoły rolnicze są nowością, gdy mają za zadanie przyciągnąć do siebie ludność, wyrobić sobie dobrą opinię i zaufanie, są nie raz wyolbrzymiane i przejaskrawione, a to bynajmniej nie wpływa na rozwój tych szkół.

Gminne Szkoły Rolnicze są dobrym pomysłem i mają przed sobą przyszłość, dlatego, że są dochodzące, a więc wygodniejsze i tańsze niż Powiatowe Szkoły Rolnicze — internatowe, — gdzie rodzina musi wyrzec się rąk roboczych syna na okres 11 miesięcy i jeszcze płacić za jego utrzymanie.

Gminne Szkoły Rolnicze mają rację bytu i jak najlepiej zapowiadającą się przyszłość, ale nie mogą być prowadzone jak dotychczas. Muszą być dobrze zagospodarowane; muszą mieć dobry wykwalifikowany personel i urobić sobie zaufanie u ludzi. Personel musi zżyć się ze wsią. Stać się jej cząstką.

Tego żąda wieś i na to czeka wieś.

Minias Marian

Leonard Sobierajski

Gdy zostały złożone podpisy...

U podstaw prawie każdego sojuszu nie trudno dopatrzeć się kilku zasadniczych momentów. Ze względu na wartość wzrastającą można by uszeregować je następująco. Pierwszym byłby moment koniunkturalny, wyznaczający państwom określone zachowanie się ze względu na aktualną rozgrywkę dyplomatyczną. Gwarantuje się wtedy sobie wzajemne poparcie, zapewnia w pewnych sprawach wspólne stanowisko. Moment ten występuje najczęściej w przeddzień konferencji międzynarodowych, które poprzedza intensywne montowanie politycznych frontów. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby w grę przy zawieraniu sojuszu wchodził tylko ten czynnik, byłby on materiałem słabo cementującym dwa narody. Charakteryzuje go przejściowość, partnerzy z chwilą osiągnięcia doraźnych celów rozchodzą się, by realizować odtąd na własną rękę swoją linię polityczną.

Czynnikiem już bardziej scalającym dwa państwa jest pojęcie wspólnego wroga; jest to właściwie najtypowszy motyw porozumienia się dwóch stron. Stoją one wówczas na stanowisku, że tylko łączne wystąpienie zapewni im przewagę wobec kogoś trzeciego, który zagraża każdej z nich z osobna, bądź że tylko wspólnie będą w możności wymusić na kimś trzecim jakieś świadczenia dla siebie. W tej sytuacji, gdy u podstaw porozumienia leży pojęcie wspólnego wroga, na sojuszu automatycznie wyciska się piętno negacji. Strony łączą się z konieczności, wiąże je potrzeba obrony bądź napadu. Gdyby nie zaistniał wróg nie byłoby racji zawierania paktu przyjaźni. To jest właśnie słaba strona sprawy, ponieważ przyjazne wyciągnięcie ręki uzależnione jest od czynnika zewnętrznego.

Jest jednak jeszcze trzeci moment, który zawieranemu sojuszowi może nadać treść pozytywną; dzieje się to wtedy, jeżeli kierownicze czynniki dwóch państw staną na stanowisku, że będzie rzeczą korzystną, jeżeli dwa narody pójdą na jak najściślejszą z sobą współpracę, gdyż tylko dzięki tej współpracy będą mogły wytworzyć odpowiednią ilość dóbr, zdolną zaspokoić własne społeczeństwo. Przy takiej koncepcji sojuszu rzuca się w oczy jego aspekt humanistyczny. Kontrahenci tak pojętej współpracy mówią: łączymy się ponieważ dopiero zsumowany nasz wysiłek może nam zapewnić rezultaty, dające członkom naszych społeczeństw pełne zaspokojenie ich ludzkich potrzeb. Postawa ta nie zamyka narodów w ramach własnego interesu, lecz apeluje do instynktu solidarności, który mógłby się realizować w większych zespołach ludzkich, stwarza ona pomosty między narodami, przyczynia się do powstania nadbudowy, której celem byłoby wyrównanie niedoborów, istniejących w poszczególnych państwach. Ten typ sojuszu wzbogaca wartość człowieka, odwołuje się do jego cech konstruktywnych, nie stawia przed nim konieczności zniszczenia innej grupy ludzkiej, by tą drogą korzystać z dóbr, będących jej własnością.

Te wstępne rozważania, upraszczające zresztą zagadnienie, pragnęlibyśmy nałożyć na konkretną sytuację. Interesują nas mianowicie możliwości rozwojowe określonego sojuszu, którym jest pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy, zawarty przez Polskę i Czechosłowację.

W danej sytuacji można by stwierdzić, że w grę wchodzą wszystkie z wymienionych wyżej momentów, różny jest jednak ich ciężar gatunkowy, trudno któryś z nich wyodrębnić jako szczególnie determinujący wolę dwóch państw, trudno również jeden z nich eliminować.

Faktem jest, że przy obecnych rozgrywkach politycznych sytuacja wymaga jednoznacznych stanowisk. W bloku narodów słowiańskich należy tę jednoznaczność wypracować, musi tu zniknąć to, co można by nazwać „swarami w rodzinie". Przeciągający się między Polską a Czechosłowacją „kłótnia sąsiedzka o miedzę" musi w hierarchii spraw zejść na plan drugi, dalej — musi być rozstrzygnięta jakby „na miejscu" wyłącznie przez strony zainteresowane. Czynnikiem dopingującym załatwienie sporu jest to, że partnerzy oczekują na decydujące rozstrzygnięcia o wymiarze europejskim. Konferencja w Moskwie musi spojrzeć na dwa państwa słowiańskie jako na kraje o uzgodnionych stanowiskach. Potrzeba sojuszu na tym się jednak nie wyczerpuje.

Premier Czechosłowacji Klement Gotvald w swej mowie powitalnej w Warszawie oświadczył: „Mamy obowiązek zbudowania mocnej zapory przeciwko agresji niemieckiej". A więc sojusz z wyraźnym wskazaniem na potencjalnego wroga, którym nadal są Niemcy, sojusz o charakterze obronnym. Taka sugestia by się narzucała na pierwszy rzut oka. Umawiające się strony wzmacniają swój system bezpieczeństwa, gwarantując sobie na wszelki wypadek pomoc wojskową, gdyby w przyszłości zaistniała tego potrzeba. W dzisiejszym jednak ujęciu w ramy systemu bezpieczeństwa wchodzi nie tylko armia, lecz cały w ogóle potencjał narodowy z swoim przemysłem, gospodarką, instytucjami. Sojusznikowi w tym wypadku będzie zależeć na tym, by jego partner reprezentował jak najwyższą skalę wartości, a nawet więcej i to jest najistotniejsze — będzie mu zależało na tym, by ta skala wartości wzrastała, gdyż wtedy nowymi wkładami bogaci się ten organizm, który stanowią dwa państwa, złączone sojuszem.

Przy zajęciu tego stanowiska nie trudno już przerzucić pomost od sojuszu, u podstaw którego leży pojęcie wroga, do zawarcia przyjaźni podbudowanej chęcią obustronnej pomocy przy rozwiązywaniu swych wewnętrznych trudności. Polskę i Czechosłowację szczególnie do tego predysponuje ich położenie geopolityczne. W założeniu sąsiedztwa poszerzonego nowymi granicami tkwi postulat, by oba te kraje wytworzyły jak najbardziej wszechstronną a uzupełniającą się aparaturę gospodarczą. Dzięki tej aparaturze w pierwszym planie mogłoby nastąpić możliwie pełne zaspokojenie własnych potrzeb na pewnych odcinkach; przy nadmiarze pewnego rodzaju dóbr można by za nadwyżki ściągać z zewnątrz inne wartości, którymi ten nowy organizm gospodarczy uzupełniły luki, które istnieją w jego systemie wytwarzania.

Łącznie Polska i Czechosłowacja rozporządzają poważną ilością surowców i urządzeń przemysłowych; stanowią więc potencjał gospodarczy, który w Europie może zyskać sobie poważniejsze znaczenie. Wspólny plan inwestycyjny dopomógłby obu krajom do jak najrozsądniejszego rozwiązania zamierzeń gospodarczych. Sojusz czesko - polski nie jest tylko manifestacją, której wymaga moment historyczny, nie jest także aktem wymierzonym wyłącznie przeciwko komuś, jest natomiast wyrazem dobrej woli dwóch narodów do rzetelnej współpracy, wypełni on się na przyszłość treścią obustronnej korzyści. Współpraca między dwoma sąsiednimi państwami jest pozytywnym elementem i dla samych kontrahentów, jak i dla cementującej się wspólnoty narodów słowiańskich, którym przede wszystkim potrzeba pokoju, by mogły osiągnąć poziom gospodarczy i kulturalny, który byłby w stanie zaspokoić ich potrzeby.

Pakt wzajemnej pomocy nabierze wówczas właściwego sensu, gdy uwidoczni się we wspólnie podjętych zadaniach. Zadaniami tymi to na najbliższą przyszłość wspólna odbudowa obiektów przemysłowych, dzięki którym może się wzmóc zdolność produkcyjna obu krajów, to uzupełnianie się surowcami czy towarami gotowymi, to wreszcie podjęcie razem takich akcji jak budowa kanału Odra — Dunaj. Przy realizacji tych zadań zacieśni się poczucie wspólnoty, które ze sfery postulatu politycznego przejdzie w krew obywateli zaprzyjaźnionych państw.

KOMUNIKAT

Ob. Bolesław Soczyński, autor wiersza „Kasztanki" oraz Ob. Marian Cieślak, autor wypowiedzi „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś"?, proszeni są o podanie własnych adresów, celem przesłania honorariów.

Administracja

Wiesław Jażdżyński

Czemu kręcicie nosem?

Na którymś seminarium przy katedrze polityki gospodarczej na fakultecie ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego omawialiśmy Narodowy Plan Gospodarczy. W dosyć chaotycznej i bezplanowej dyskusji zwracał powszechną uwagę głos pewnego kolegi z akademickich „Wici", który niczym kaznodziej, piętnował z ostatniej ławki stosunki społeczne w obecnej Polsce, dowodząc, że popularny dziś slogan „Polska robotniczo-chłopska" jest frazesem bez rzeczowego pokrycia. Chłop — zdaniem mówcy wiciowego — dźwiga dziś, jak i od wieków ciężar wyżywienia państwa, bez wydatnej pomocy ze strony Rządu, a nawet przeciwnie — jest politycznie hamowany, a przede wszystkim niszczony ekonomicznie, aby zrezygnował z samodzielnego gospodarowania, wyzbył się szlachetnego instynktu posiadania i był zwykłym, bez jakiegokolwiek wyrazu społecznego, czy kulturalnego — skołchozowanym robotnikiem.

Podniesiony głos, zaczerwieniona twarz i błyszczące oczy mówiącego, wprawiły część uczestników seminarium w stan emocji.

Od pewnego czasu zaistniała wśród moich kolegów pomyślna koniunktura na sprawy chłopskie, ruch ludowy itd. Nie było to dla wielu najlepszym wyjściem z sytuacji, ale skoro nie można inaczej? Na tej desce ratunku dopłynie się może do „pomyślniejszych" czasów politycznych. Wtedy będzie można przesiąść się na elegancki okręt narodowy, zmienić flagę z blado-zieloną koniczyną na inną, ze smukłym orłem Jagiellońskim i koroną.

Kiedy obrońca spraw chłopskich przyjmował gratulacje od kolegów, poprosiłem go na wieczór do siebie.

Przyszedł.

— Taki z was gorący ludowiec. — Jesteście chłopem? — zapytałem.

— Nie, broń mnie Panie Boże. Pochodzę z Pińczowa, gdzie ojciec prowadzi, taki, wiecie... interes rzeźniczy. Chłopi dostawiają żywiec, wołowinę, cielęcinę, i td. więc też znam doskonale ich dzisiejsze położenie, którego nasza „góra" nie chce poprawić. Teraz dostawy są marne, a interes kuleje. Poza tym ta spółdzielczość odbiera nam klientów.

— Pewno, że macie trochę racji. Patrzcie tylko na materiał cyfrowy, dotyczący stanu inwentarza żywego. Wynika z nich, że kiedy w roku 1938 mieliśmy 6.300.000 krów, to w roku 1945 posiadaliśmy ich tylko 2.700.000.

	mieliśmy w 1938 r.	w 1945 r.
Wołów	480.000	200.000
jałowizny	1.748.000	680.000
owiec	1.941.000	710.000
nierogacizny	9.794.000	1.600.000

Widzicie więc, że to nie tylko rząd ponosi winę za ten stan rzeczy, ale działają tu przede wszystkim skutki wyniszczenia wojennego.

— Trudno nie zgodzić się na cyfry, ale mówmy szczerze, jesteśmy przecież obaj swoi, czy za okupacji było znowu tak tragicznie z dostawami ze wsi? Cham nie tylko windował ceny, jak chciał, ale kazał nam jeszcze chodzić na wieś po zakupy, ostatecznie jednak dało się nienajgorzej żyć.

— Znowu macie trochę racji. Istotnie, stopa życiowa w znacznej części obywateli, szczególnie waszej kategorii, nie obniżyła się podczas okupacji wcale, albo znacznie mniej, niż by to należało sądzić na podstawie dokonywanej przez Niemców gospodarki rabunkowej. Wyrzynane wtedy krowy i świnie karmiły znośnie obywateli, ale dziś, kiedy ich już nie ma — nie mogą karmić. Tamten stan rzeczy mści się dopiero dziś.

— No tak, tak, tak, ale gdzie wy widzicie, choćby tendencje do poprawy, gdzie pomoc państwowa? Słyszy się tylko, że w sejmie jakiś pan powiedział, że będzie tak, inny znowu w gazecie, że siak. Lecą lata, a tu same projekty, zmiany w stanie rzeczy, teoretyczne ulepszanie itd. A chłop ojcu żywca nie dostawia, bo nie ma i nie będzie miał.

— Ujmujecie takie szerokie zagadnienia, których tło nie jest tylko gospodarcze, ale także i społeczno-polityczne w wąskim zakresie własnego podwórka.

— Ależ to najlepszy sprawdzian! „Poco szukać tak daleko, kiedy było jakoś blisko" — powiedział Wernyhora takiemu kiepskiemu gospodarzowi jak wy.

— Nie tylko to powiedział Wernyhora, ale także i „daleko, a było blisko". Sprawy otaczające nas zbliska mają szerokie podłoże przyczynowe i będą właściwie rozumiane na możliwie szeroko pojętym podkładzie.

— Ciekawe, jak mi to też wytłomaczycie.

— Należycie podobno do chłopskiego stronnictwa, które ma za sobą 50 lat walki o Polskę Ludową.

— Tak.

— No to biliście się przecież o zmianę struktury agrarnej kraju, walczyliście o reformę rolną.

— Ale nie taką, jak obecna. Cóż wy — chaotyczną parcelację 3 i pół ha w rekordowym czasie nazwiecie może poważną reformą rolną?

— Oczywiście. Mam uważać za poważną reformę rolną parcelację kilkuset tysięcy zaledwie ha, wlokącą się przez wszystkie międzywojenne lata, której wasze stronnictwo nie umiało ani przyśpieszyć, ani upowszechnić.

— Mówicie tak jakbyście nie znali skomplikowanych dziejów drugiej Rzeczypospolitej.

— Cieszę się, że to usłyszałem i wnosze, że skomplikowane daleko więcej dzieje trzeciej Rzeczypospolitej rozumiecie wobec tego doskonale. Przecież w naszych warunkach daleko gorszych od tamtych po pierwszej wojnie światowej — reforma była zadniem prawie niewykonalnym. Na tle niesłychanego zniszczenia 8 milionów Polaków, na 22 podlegało przesiedleniu, czyli — dwóch pracowało normalnie, a co trzeci dopiero urządzał sobie życie. Nie sądzicie, że ten chaotyczny akt, to połowa wielkiego dzieła?

— Trudno mi odpowiedzieć. Teoretycznie macie rację. Ale, ale, czy mówię z naszym ludowcem czy też z „czerwonym", bo zaczynam mieć obawę, kolego.

— Z ludowcem, napewno — przecież widzicie, że zapisuję rozmowę z wami — zielonym atramentem.

— No to mówcie, jaką ma wartość dokonana reforma — według waszego zdania.

— Świetnie. Wróćmy więc najpierw do waszego rzeźniczego interesu. Jacy chłopi dostarczali wam żywiec, wszyscy?

— Skądże, tylko bogatsi.

— A reszta?

— Dziady, bezradne gospodarczo.

— A dlaczego?

— Brak ziemi, pomocy, znajomości jakiejś uporządkowanej uprawy, ziemia w szachownice. Z tego połowa miała ziemię rozrzuconą więcej niż w 4 kawałkach, ponad 10 proc. więcej niż w 10 kawałkach. Gospodarstwa karłowate, te właśnie dziady chłopskie, bezradne gospodarczo poniżej 5-cio hektarowe stanowiły 64,7 proc., a mogące się już utrzymać 5 — 10 hektarowe tylko — 22,5 proc. Nadzielanie rodzinne szło daleko szybciej niż pierwsza reforma rolna, więc dla tego kochany kolego, liczba bezradnych gospodarczo zagród chłopskich była w chwili wybuchu wojny znacznie większa.

— A teraz?

— Czytajcie! Mamy obecnie gospodarstw chłopskich około 2.600.00. Z tego 70 proc. stanowią gospodarstwa 5 — 10 hektarowe, a poniżej 5 ha stanowią już tyl ko 26 proc. Dzięki odpływowi ludności wiejskiej na Ziemie Odzyskane liczba tych nieproduktywnych gospodarstw zmniejszy się.

— No, dobrze, kolego, ale pokażcie mi tu plan stworzenia samodzielnych, niezależnych i produkcyjnych gospodarstw chłopskich.

Do tego właśnie zmierzamy. Powiedzcie mi: jeżeli tu za podstawę produkcyjności przyjmiemy między innymi konieczność posiadania przeciętnie 7-hektarowej gospodarki, to stworzono już tę podstawę, czy nie?

— Stworzono, powiedzmy.

— A istniała ona przed wojną?

— No, nie, ale na miły Bóg, odpowiednio duży obszar uprawy, nie rozwiązuje jeszcze problemu. Mówcie, co chcecie, ale ja nie widzę konkretnej pomocy państwa dla odbudowy gospodarczej wsi. Z próżnego i Salomon nie naleje, a cóż dopiero zniszczony chłop. Wieś roznamiętnia się politycznie, zawraca głowę planami, projektami i innymi gruszkami na wierzbie, a pomyślności, jak nie widać, tak nie widać. Lecą lata, a tu było i jest źle.

— Trochę wam się dziwię. Skąd nagle taki krzyk o pośpiech. Przecież przez dwadzieścia lat tamtej wolności nie śpieszyliście się ani z reformą, ani z pomocą.

— Łapiecie za słowa, a ja się pytam o konkretne fakty pomocy dla zniszczonej wsi.

— Wróćmy zatem do faktów. Macie tu numer „Życia Gospodarczego" z końca ub. roku. Podają w nim, że do X. 1946 rozdano na odbudowę [illegible] zagród

(dokończenie na str. 8-ej)

F A K T Y i Z D A N I A

DIALOG

(na podstawie artykułu „Wici a młodzież miejska" z Młodej Myśli Ludowej nr 1 rok XVIII, 1947).

Kowal — W dzisiejszej Polsce chłopi stanowią (z naciskiem) **jedyną** siłę na której może się oprzeć na długą metę byt państwa.

Przeciętny mieszczuch — ?

Kowal — Ze względu na liczebność i wartości, które reprezentują. „Patrząc na bieg przemian, jakie się obecnie w Polsce dokonują, utwierdzam(y) się w przekonaniu, że bez czynnego udziału chłopów nie mogłoby byćmowy o odbudowie gospodarki państwowej".

Przeciętny mieszczuch — Słusznie. A co pan sądzi o nas, o mieście?

Kowal — Z wami jest źle. „Ogrom ustawicznie przelewających się zjawisk, powódź wszelkiego rodzaju wydarzeń, nadmiar wrażeń wzrokowych i słuchowych powoduja w dużej mierze zanik wrażliwości intelektualnej.

Przeciętny mieszczuch — (zaniepokojony) że jak, proszę pana?

Kowal — ....zanik wrażliwości intelektualnej i niechęć do głębszych przemyśleń. Walka o byt pogoń za pieniądzem i różnego rodzaju przyjemnościami. Wypełniają życie człowieka wielkomiejskiego, stąd reakcja jego umysłu na różnego rodzaju zjawiska społeczne czy kulturalne jest z reguły powierzchowna".

Przeciętny mieszczuch — (przerażony) powierzchowna powiada pan?

Kowal — Tak jest. „Prądy społeczne i kulturalne przyjmowane i rozpatrywane są jako pewnego rodzaju przemijająca moda".

Przeciętny mieszczuch — Moda? (składa ręce) Hospody pomyłuj!...

Kowal — Słuchaj pan dalej —„Przytępiona zdolność do krytycznej oceny sprawia, że o powodzeniu tego czy innego kierunku decydują nie wartości, które on rzeczywiście wnosi, ale panujące w masach nastroje".

Przeciętny mieszczuch — (przerażonym szeptem) ...zanik wrażliwości intelektualnej, powierzchowna reakcja umysłu, moda, nastroje...

Kowal — „A zupełnie inaczej rzecz ma się na wsi. Tutaj umysłowość człowieka kształtuje się pod przemożnym wpływem przyrody. W przyrodzie zaś wszelkie procesy przebiegają powoli ale zupełnie i gruntownie. Już ta sama okoliczność wpływa na kształtowanie się osobowości człowieka skazanego na ciągłe współżycie i współdziałanie z przyrodą".

Przeciętny mieszczuch — ?

Kowal — „Współżycie z przyrodą warunkujące powolniejsze tempo życia na wsi, nie jest jedynym czynnikiem wpływającym dodatnio na ukształtowanie się umysłowości człowieka".

Przeciętny mieszczuch — przepraszam, jak? Powolniejsze tempo życia jest czynnikiem dodatnim?

Kowal — Tak jest. „Również i praca na roli, jakkolwiek wymagająca dużo wysiłku ma tę wielką zaletę, że nie jest jednostajna i monotonna. Warunki w jakich odbywa się praca na roli, wyrabiająca w człowieku zdolność do przemyślań".

Przeciętny mieszczuch — Okazuje się, że zupełnie fałszywie oceniałem pracę na roli. I rzeczywiście warunki tej pracy wyrabiają zdolność do przemyślań? Do jakich?

Kowal — Słuchaj pan dalej. „Wprzągnięty w cały proces produkcji i związany z jego wynikami chłop nie tylko wykonuje pracę wysiłkiem mięśni, ale przeżywa ją całą swoją istotą. Stąd wypływa większa skłonność do gruntownych przemyśleń i większe poczucie odpowiedzialności. W ocenie zjawisk i wydarzeń chłop mniej ulega nastrojom, kierując się raczej rozsądkiem".

Przeciętny mieszczuch — A czy to współżycie z przyrodą, to wolne tempo życia, dobrodziejstwo pracy na roli i to wszystko co pan tu opowiadał istnieje również i zagranicą? Np. w Anglii, Francji, Rosji, Ameryce?

Kowal — (milczy)

Przeciętny mieszczuch — Przepraszam, a czy pan jest chłopem?

Kowal — (zdziwiony) Tak jest. A dlaczego pan pyta?

Przeciętny mieszczanin — (nieco zmieszany). No, bo mówił pan, że chłopi w ocenie zjawisk i wydarzeń kierują się na ogół rozsądkiem...

KONSEKWENCJE ARTYKUŁU I DIALOGU

Sądzę, że wolno jest Kowalowi Józefowi mieć nawet takie patrzenie, że wolno być megalomanem, zwolennikiem konserwatyzmu, wymieszać i gruntownie pogmatwać względnie proste pojęcia, ale, sądzę, wolno mu to wszystko prywatnie, a nie w imieniu młodzieży chłopskiej, nie w imieniu Wici, nie w Młodej Myśli Ludowej. I to przede wszystkim z uwagi na wartości tkwiące w chłopach w grupie społecznej, której w artykule swoim Kowal J. zwyczajnie zaszkodził.

d. g.

PODRĘCZNIKI

Jak przedstawia się sytuacja na rynku wydawnictw książkowych? Pobieżne oglądnięcie kilku księgarń przekona ciekawego, że książki — choć drogie — są, że rodzaje ich są różne i dość licznie reprezentowane. Niewątpliwie, ruch wydawniczy jest jedną z najbardziej ożywionych dziedzin w życiu powojennym.

Gdy przyjrzymy się jednak bliżej tej sprawie, gdy zanalizujemy dane statystyczne, ukażą się i braki. Analizę obecnej sytuacji wydawniczej dał A. Bromberg w n-rze 10-ym „Kuźnicy" (art. „Wydawnictwa ruszyły). Opierając się na danych Archiwum Gł. Urzędu Kontroli Prasy o wydawnictwach z 1946 roku, stwierdzić można, że produkcja tego roku stanowi tylko 51 proc. produkcji r. 1937. Należy jednak zaznaczyć, że obecne wydawnictwa przewyższają przeciętnie dwukrotnie nakłady przedwojenne. W ogólnej sumie 3248 tytułów jest najwięcej, bo 25 proc. książek i broszur z zakresu nauk społecznych, prawa i publicystyki. Na drugim miejscu jest literatura piękna (17 proc.). Produkcja tego działu odpowiada mniejwięcej przedwojennemu stosunkowi procentowemu. Natomiast zastraszająco mała jest liczba podręczników szkolnych (5 proc. ogólnej produkcji) — wynosi ona 121 tytułów, podczas gdy przed wojną produkowaliśmy przeciętnie rocznie 500—700 pozycji, a w r. 1938 aż 1087. Przy tym należy pamiętać, że nowowydawane podręczniki nie uzupełniają tylko braków wynikających w dużej mierze z niszczenia się książek — jak przed wojną. Nakłady ich muszą zaspokoić całkowity brak podręczników, który stanowi chyba największą bolączkę szkół wszystkich stopni i typów.

Stan ten domaga się natychmiastowej zmiany. Wielkie spółdzielnie wydawnicze („Czytelnik", „Książka", „Wiedza"), państwowe instytucje wydawnicze i prywatne, przejawiające coraz to większą działalność (znamienne, że jedynie w dziale beletrystyki), nie porozumiały się dotychczas w dostatecznym stopniu, aby wspólnie zapobiec brakowi podręczników. Istnieje co prawda Związek Wydawców, lecz dotychczas żywszej działalności nie rozpoczął. Tymczasem właśnie nie przez dekrety i rozporządzenia od góry, a przez zorganizowaną współpracę wszystkich wydawców, wraz z prywatnymi, można ten stan rzeczy naprawić.

Sprawa jest pilna. Już na 1 sierpnia (a jest to termin bardzo krótki dla zredagowania i wydrukowania książki przy obecnych utrudnionych warunkach technicznych) — muszą się znaleźć podręczniki dla szkół.

„Przy odpowiednim postawieniu sprawy przez **Ministerstwo Oświaty** — pisze A. Bromberg — i energicznym zajęciu się tym już teraz — można to zadanie wykonać. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, co mogą bez trudności dostarczyć na termin **wydawnictwa do tego specjalnie powołane.** Następnie należy ułożyć listę podręczników nie objętych jeszcze planem żadnego z wydawnictw, lub takich, których wydawnictwa te w b. roku szkolnym nie będą mogły wykonać, rozszerzając ten spis o wszystkie dawne podręczniki, które, w braku nowych, od biedy mogą jeszcze rok —dwa służyć młodzieży, zwłaszcza podręczniki nauk ścisłych. Te wszystkie podręczniki **muszą znaleźć wydawców** (do jednego nakładu przynajmniej) i znajdą tym łatwiej, że nawet przy narzuconej cenie, ale przy zapewnionym w pierwszej kolejności papierze i drukarni, a co najważniejsze zagwarantowanym szybkim zbycie, **zysk jest pewny.** Właściciel praw poza jednym nakładem — miałby prawo do odpowiedniego odszkodowania czy udziału w zyskach. Szczególnie trudna sprawa składów matematycznych i podręczników specjalnych w wypadkach zezwolonego przedruku, bez poważniejszych zmian może być rozwiązana drogą kliszowania lub offsetów".

Istotnie, sprawa przy odpowiednim postawieniu jest jeszcze do załatwienia. Rozsądne rozdzielenie brakujących podręczników między wydawnictwa zapewni zapełnienie luk — a ważnym jest i akcji tej gwarantuje powodzenie, fakt, że żaden wydawca nie straci na wydawaniu podręcznika, odbijanego zawsze w większym nakładzie, dwukrotnie, przewyższającym nakład przeciętnej powieści.

Chodzi jedynie o zaspokojenie poważnego obecnie braku papieru (nie dość, że go mało — koszt jego po cenach urzędowych ostatnio nagle wysoko wzrósł) — oraz o **inicjatywę.** A td bezsprzecznej należy do **Ministerstwa Oświaty** w którym wieś ma swego przedstawiciela w osobie wiceministra Garncarczyka, bezpośredniego opiekuna gimnazjów i szkół rolniczych).

Związek Wydawców najwidoczniej czeka na ożywienie go celową i przemyślaną a ważną w skutkach akcją. Będzie to jego pierwszy chwalebny krok na drodze współpracy wszystkich wydawców i wielka zasługa dla polskiego szkolnictwa, dla czekającej szkolnej młodzieży wiejskiej.

z. s.

POCHWAŁA „WSI"

Słusznie ob. St. Kiszka pisze, iż nie cała wieś, nawet mniej niż połowa wsi może rozumie literacką poezję i wiersze jakie ukazują się na łamach „Wsi". Ja także jestem wierszorobem i ślę te utwory do pism polsko-amerykańskich, gdyż od długich lat tam jestem znany. Gdy tu poślę do redakcji — idą do kosza bo nie literackie, ale gdy te same śpiewki, wiersze i rymy ala Jontek z Bugaja, widzi wieś w gazecie polsko-amerykańskiej czyta je, śpiewa i uczy się ich na pamięć i pyta dlaczego takich pisma w Polsce nie drukują.

Trudno, czasy się zmieniają. Rodak nasz w Ameryce jeszcze żyje tym co wywiózł z rodzinnej wsi sprzed czterdziestu laty i nie wie, o tym, że w Polsce żyjemy nowatorstwem któremu trzeba ulegać, bo co nie nowatorstwo to grafomaństwo.

Gdyby dziś Konopnicka żyła i napisała „Dzwony" to na pewno w pierwszej redakcji poszedłby do kosza jako nie literacki. Poszedłby czy nie poszedł? I dlaczego?

Czasem pytam. Jaki cel zamieszczania poezji, które rozumie tylko autor. Nie należy jednak uważać, że jestem konserwatystą. Co dobre było 50 lat wstecz, dobrem zawsze być powinno. Wiersze Broniewskiego są literackie a jakże czyta się je gładko, dobrze z zamiłowaniem i rozumie się co się czyta. Ale gdy się palnie coś literackiego o księżycu i paście do butów w *jednej poezji, to już nie* wiem, gdzie ta literackość.

Ale posuwać się musimy naprzód i obracać z „niezrozumiałem" (do pewnego stopnia) aby się stało dla nas zrozumiałe, inaczej szlibyśmy wstecz. Dlatego nie zgadzam się z wywodami ob. St. Kiszki aby „Wieś" tak redagować, aby ją cała wieś rozumiała.

Ob. Redaktorze proszę Was nie róbcie ze „Wsi" „Chłopów", „Zielonego Sztandaru" ani „Chłopskiej Drogi", dlatego, że kocham tamte pisma i potrzebne są wsi jak azot z tlenem płucom, ale „Wieś" niech „Wsią" pozostanie, bo ja taką kocham. Tak chcę i ze „Wsią" zrobić reformę, ale w cyrkulacji i powiększeniu szpalt chociaż do 12 stron, abym miał choć na dwa wieczory dość czytania.

Idziemy przecież naprzód a nie wstecz i dlatego wierzy się, iż idziemy do tej chwili w której cała wieś rozumieć będzie swoją „Wieś". Dziś bierze ją chłop bardziej oczytany, bierze ją młoda wieś, społecznik, bierze i literat miejski. Bierze ją ten, co nieco dalej był od rodzinnej wsi. Bierze ją i taki, który wsi nie zna a chce ją poznać. Nie o ilość treści, ale **o jakość treści** nam chodzi i treści różnej od innych pism wsiowych i dlatego niech „Wieś" dalej „Wsią" będzie.

Seweryn Skulski

FERMENT W KULTURZE

Kuźnica wydała numer (12/81) poświęcony całkowicie problemom kultury i oświaty pozaszkolnej ze szczególnym uwzględnieniem roli Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Jak stwierdza St. Żółkiewski w „komentarzu" jest on „pierwszą próbą postawienia tego zagadnienia przy wspólnym stole oświatowców, pisarzy, pedagogów, polityków — jednym słowem nareszcie współpracującym wszelkiego typu i poziomu twórców wartości kulturalnych". Istotnie, zagadnienia kulturalne i oświatowe są omawiane z uwzględnieniem różnych aspektów, przez kilku reprezentantów poszczególnych specjalności: Celinę Bobińską („Komisja edukacyjna" klasy robotniczej), Henryka Jabłońskiego (TUR wczoraj i dziś), Jadwigę Siekierską (Drogi kultury), Stanisława Dobrowolskiego (Formy i drogi pracy TUR-owej), Tadeusza Żeromskiego, (Koncepcja Robotniczych Domów Kultury TUR). W drugiej części numeru, pisze Anna Kamieńska o dyskusji na temat uniwersytetów Ludowych (jaka toczyła się we „Wsi" i „Oświacie Rolniczej") oraz recenzuje książkę Józefa Kapuścińskiego „Ciernistę ścieżki literatury ludowej"; Ryszard Matuszewski zaś omawia właściwą rolę uniwersytetów ludowych w związku z książką J. A. Króla „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej".

Problemu kultury nie roszczepiają artykuły „Kuźnicy" na dwie sprawy: kultury tzw. „ludowej" bezpośrednio produkowanej i konsumowanej tylko przez wieś czy proletariat miejski i kultury „narodowej" — wyższej gatunkowo i dostępnej tylko jednostkom. — „Podział na kulturę mas i kulturę elity nie może istnieć nadal" — reasumuje St. Żółkiewski. Podział ten dotychczas istniał i doprowadzał do tworzenia i konserwowania różnych *podziałów kultury — są przecież ideolodzy kultury „ludowej" jako chłopu tylko właściwej* dla chłopa jedynie i przez chłopa tworzonej. Postęp w zapatrywaniach na kultury jest już dziś oczywisty. Nowa myśl nie ugruntowała jednak jeszcze nowej, do nowych potrzeb przystosowanej praktyki.

„Trzeba jasno powiedzieć — czytamy znów w „komentarzu" — że dzisiejszy TUR i RUL nie mają jasnego planu w tej nowej działalności o wielkim rozmachu, działalności, w której by te dwie instytucje mogły być ideowymi i technicznymi przodownikami, a która by miała urzeczywistnić nowy tpy kultury w Polsce".

Grzechy TUL-u były wielokrotnie przedstawiane na łamach „Wsi". Uniwersytety ludowe, nastawione wyłącznie na „kształcenie ducha", „urabianie charakteru", nie są już dziś właściwymi uczelniami dla inteligencji wiejskiej. Dyskusja o uniwersytetach ludowych i część książki J. A. Króla, poświęcona temu zagadnieniu — świadczy o tym, że uniwersytetom ludowym nowa myśl wyznacza rolę kształcenia działaczy, umiejących i chcących oddziaływać na swe środowisko. Droga do tego prowadzi przez włączenie do psychiki chłopa świadomości społecznej i znajomości dialektyki świata zewnętrznego. Książka J. A. Króla — jak pisze R. Matuszewski — „jest nie pozostawiającą żadnej wątpliwości oznaką, że przemiany jakie zachodzą w gospodarczej i społecznej kulturze wsi nie mogą nie wpłynąć na ferment w kulturze. Jest przejawem tego fermentu. Przejawem zdrowym, krytycznym i twórczym".

Stoimy niewątpliwie w obliczu głębokich zmian na polu oświaty pozaszkolnej i kultury. Pójdą one po linii zniesienia różnic kulturalnych dzielących różne klasy i warstwy społeczne, a najrychlejszym ich zadaniem będzie umasowienie i upowszechnienie oświaty.

j. s.

Czemu kręcicie nosem?

(dokończenie ze str. 7-ej)

wiejskich miliard 367 milionów złotych, 376.000 m. sześć drzewa, 74.000 ton cementu, 22.700 ton wapna, 1.000 ton gwoździ, 62.000 rolek pasty, 13.500.000 sztuk cegieł, rozprowadzono w teren 595 maszyn do pustaków betonowych, 618 maszyn do wyrobu dachówek, 66 betoniarek itd.

—Zastaliśmy Polskę chłopską, kolego — nawet nie drewnianą, ale zniszczoną, a chcemy zostawić murowaną.

— Pewno, tych trochę cyfr ma swoją wymowę, ale mnie chodzi o pomoc w podniesieniu produkcyjności gospodarstw chłopskich.

— Służę posiadanym materiałem cyfrowym. W związku z akcją siewną, która jak wiecie prowadzono przy pomocy traktorów Min. Rolnictwa, uruchomiono kredyt w wysokości 2 miliardów złotych na zakup maszyn rolniczych. W jesieni 1946 otrzymali rolnicy 300.000 ton nawozów, podczas gdy przed wojną zużywali w tej porze tylko 200.000 ton. Wiosną 1947 r. otrzymają 176.000 ton nawozów przedsiewnych. Sprowadzono dla nich w roku ubiegłym 500 szwedzkich żniwiarek, rozprowadzono 300.000 kos sprowadzonych przez „Społem" z Australii. Nie mam danych za 1946 rok, ale już w 1945 wyprodukował nasz przemysł dla wsi ponad 18.000 bron, 12.000 pługów i 1.300 młockarni. Stan technizacji produkcji rolnej jest zły, ale lepszy niż przypuszczacie. Bo kiedy przed wojną wypadało 4 siewniki na każde 1.000 ha, to teraz wypada ich 6 — 7, a w 1949 będzie ich 20 na każde 1.000 ha.

— Chciałbym być z wami szczery. Pewno, że są cyfry i cyfry coś mówią. Ale najważniejsze jest dla mnie, do czego to wszystko zmierza, te maszynizacje, elektryfikacje wsi, stacje traktorów, to wszystko pachnie kołchozem, który u nas oznaczałby klęskę narodową.

— Kręcicie, kolego. Coraz o co innego wam chodzi,ale chętnie wam moje zdanie wypowiem. Wsparte materialnie gospodarstwo chłopskie, przez pomoc państwową będzie mogło pełnić rolę samodzielnego warsztatu produkcyjnego. Przedsiębiorcą i właścicielem był, jest i będzie chłop. Zespół takich gospodarstw zrejonizowany na podstawie możliwości produkcyjnych, tworzyć będzie oparty o własną, chłopską spółdzielczość ośrodek produkcyjny artykułów rolnych w ramach ogólnego planu. Jasne, że będą rejony żywszej hodowli na Podhalu, a pszenicy w Sandomierskim. Całość będzie już nie przypadkowa, ale planowana na podstawie warunków produkcyjnych, wyznaczonych położeniem geograficznym, zamiłowaniem do tego, czy innego działu produkcji itp.. Gospodarstwo nie będzie przypadkowe, jak i proces wymiany. Nie sporadycznie pojawiający się produkt, niepewny zbytu dla nieokreślonego odbiorcy, lecz bez przerwy wytwarzany produkt, zawsze znajdujący zbyt — dla konkretnego konsumenta. Zniknie typ gospodarki chłopskiej gnanej na ślepo wichrem dziejów kapitalistycznych. Czemu kręcicie nosem?

— Bo ja nie mam zaufania do dobrobytu w tak wyrachowany sposób budowanego.

— Rozumiem. Macie złe samopoczucie, ponieważ forma osiągania dobrobytu wam nie odpowiada. To nic. Takie zmartwienie przejdzie z chwilą nastania dobrobytu, który warunkuje właśnie najlepsze samopoczucie. Zapewniam was.

Wiesław Jażdżyński

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Komitet redakcyjny: **Zygmunt Kałużyński, Stefan Lichański, Stanisław Piętak, Leonard Sobierajski.**
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96 I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—011392